



Głos Nauczycielski

TYGODNIK SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

Warszawa — nie zawiodła

COKOLWIEK historia powie o strajku nauczycielskim w Warszawie, nie powinna pominąć faktu, że strajk ten był wstrząsającym przeżyciem dla ogromnej większości nauczycielstwa, ludzi odpowiedzialnych za wychowanie młodzieży. Był to jednak nakaz moralny, protest przeciw metodom walki z demokracją i z Związkiem, z patriotycznym nauczycielem, z jego wolnością organizacyjną.

Nauczyciel stolicy miał możliwość obserwacji tego, co działo się w Warszawie i w najbliższym otoczeniu. Stąd pomyśleń pierwszeństwo terenowe w wyborze formy protestu — strajku. Tak wtedy rozumował Zarząd Oddziału Stołecznego ZNP opowiadając się jednoznacznie za strajkiem, organizując go od początku do końca.

Związek relacje z tych dni gorących rzucają światło na ich przebieg. Niedziela, 4 października. W sali związkowej obradują delegaci szkół, zwołani przez Zarząd Oddziału na Nadzwyczajne Zebranie w sprawie wytworzonej sytuacji. Atmosfera gorąca. Pada wiele wniosków, co do formy protestu.

Delegaci wybierają kilka osób, które razem z Zarządem udadzą się na naradę, by dać najbardziej trafną odpowiedź na dramatyczne pytanie: co robić?

Postępowanie rozszerzonego Zarządu Oddziału przedłuża się. Garska ludźmi ma powziąć decyzję, która zadowolili czekających na sali obrad, decyzję, która będzie wyrazem woli nauczycielstwa nie tylko stolicy, ale całego kraju. Nawet najbardziej popędliwi wśród obradujących mówią o strajkowym pochodzie w niedzielę za tydzień lub innego dnia po południu; pada też projekt godzinnej przerwy w pracy szkolnej itp.

Jeśli strajkować, to jutro od rana, gdyż potem może być za późno! — pada wniosek jednego z członków Zarządu. Strajk musi być pokazany społeczeństwu, a więc wyrażony w pochodzie ulicznym. Pochód należy zabezpieczyć przed policją. Manifestujący udadzą się więc do Belwederu.

Wniosek przyjęto. Stroną techniczno-organizacyjną strajku oraz pochodu zajmie się kol. Dobraniecki.

Nadzwyczajne Zgromadzenie uchwaliło strajk!

Wszyscy obecni zobowiązują się powiadomić personel powierzonych im szkół o zbiorze w poniedziałek o godz. 7.30 przed gmachem ZNP.

Przez całą noc z 3 na 4 października czynne są telefony w lokalach Oddziału

(Dokończenie na str. 2)

Szkoły muszą być budowane taniej i lepiej

Wojciech Pokora

dyr. generalny Ministerstwa Oświaty

W CZASIE tegorocznych wakacji odbyła się w Londynie konferencja międzynarodowa, poświęcona sprawom budownictwa szkolnego. Zjechały się delegacje aż z 56 krajów. Razem nad powołaniem do życia międzynarodowych ośrodków współpracy w tej dziedzinie. Na całym świecie bowiem sprawa budownictwa szkolnego urosła do poważnego problemu.

W krajach ostatnio wyzwolonych z okowów kolonializmu są do odrobienia wieloletnie zaniedbania. W wielu krajach kapitalistycznych, nawet bogatych, potrzeby lokalowe szkół są także znaczne, bo ich zaspokojenie było na dalszym planie. W obozie państw socjalistycznych intensywny rozwój oświaty, związany ściśle z rozwojem wszystkich dziedzin gospodarki, powoduje, że nie możemy na dłużej z wstrząsającym ciągle potrzebami. Stąd konieczność nawiązania ścisłej współpracy międzynarodowej, aby wspólnie poszukiwać najskuteczniejszych rozwiązań. Wszyscy poszukują takich rozwiązań, aby wznosić obiekty szkolne możliwie tanie, coraz odpowiedniejsze do pracy dydaktyczno-wychowawczej i bardziej nowoczesne. Nasze wysiłki idą także w tym kierunku. Potrzeby wciąż wyprzedzają osiągnięcia.

W tym roku oddajemy do użytku młodzieży przeciętnie dwa nowe budynki szkolne dziennie. W porównaniu z okresem międzywojennym tempo budownictwa szkolnego wzrosło już sześciokrotnie. Jasny, nowoczesny budynek szkolny stał się charakterystycznym akcentem w krajobrazie tysięcy wsi i osiedli naszego kraju. Ale potrzeby wyprzedzają ciągle, i to znacznie, osiągnięcia inwestycyjne. Ten wysiłek trwa już szereg lat i nieprędko się zakończy, bo intensywny był dotychczas i musi być nadal proces rozwoju wszystkich rodzajów szkolnictwa.

W latach 1963—65 mamy wybudować dla szkół podstawowych ponad 18 tysięcy

czyli lekcyjnych i około 3530 pracowni. Przynajmniej po 6 tysięcy izb lekcyjnych rocznie musimy wznosić dla potrzeb tego szkolnictwa i w latach 1966 i 1967, aby zapewnić minimum warunków dla szkół 8-klasowych. W tych latach bowiem liczba uczniów w szkołach podstawowych wzrosła o ponad 600 tysięcy, przybędzie dwadzieścia parę tysięcy dodatkowych klas ósmych. W liceach ogólnokształcących i szkołach zawodowych — mimo blisko czterokrotnie większego programu budowlanego w latach 1961—65 niż w ubiegłej pięcioletniej — zagęszczenie nie zmaleje, lecz wydatnie się jeszcze zwiększy. Coraz szerzej będziemy musieli w tych szkołach także wprowadzać naukę na drugą zmianę. W tej sytuacji racjonalne wykorzystanie każdej złotówki przeznaczanej na budownictwo szkolne jest sprawą zasadniczej wagi.

Konieczne jest pełne zabezpieczenie wykonawstwa dla inwestycji szkolnych. Realizacja tak dużego programu budownictwa szkolnego wymaga, oczywiście, poważnych nakładów finansowych ze strony państwa oraz coraz szerszej inicjatywy i pomocy całego społeczeństwa. W latach 1961—65 na budownictwo szkolne potrzeba około 21 miliardów złotych. Ale sprawa nie sprowadza się tylko do zabezpieczenia niezbędnych limitów i nakładów finansowych. Główne trudności piętrzą się obecnie na drodze pełnego i terminowego wykorzystania przeznaczonych na ten cel środków.

Problemem numer jeden staje się sprawa zabezpieczenia możliwości pełnego przerobienia limitów przez przedsiębiorstwa budowlane. Jak wykazuje praktyka, nie wystarczy bowiem tzw. mocy przerobowej tych przedsiębiorstw na wykonanie wszystkich zaplanowanych za-

dań. W tej sytuacji wiadomo więc z góry, że jakiś procent inwestycji nie będzie zrealizowany. Ale w tym procencie nie powinny się znaleźć inwestycje szkolne ze względu na konieczność zapewnienia niezbędnej bazy lokalowej dla przeprowadzonej reformy.

Biorąc to głównie pod uwagę Rada Ministrów podjęła decyzję zobowiązującą ministra budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych oraz prezydium rad narodowych — do zabezpieczenia w pełni realizacji planów budownictwa szkolnego. Niestety, w roku bieżącym nie wszystkie rady narodowe zastosowały się do tych poleceń. W licznych przypadkach nie zapewniły one inwestycjom szkolnym realnej mocy przerobowej przedsiębiorstw budowlanych.

Z danych, dotyczących wykonania tegorocznego planu za 9 miesięcy, wynika, że w wielu województwach wykonawstwo jest słabe i powstaje wyraźna groźba niewykonania zadań, jeżeli nie nastąpi wzmocnienie wysiłków. Taki stan rzeczy jest w woj. poznańskim, gdzie przerób idzie zólowym krokiem i do końca września wykorzystano zaledwie 52,5% limitów. Podobnie wygląda sprawa w woj. kieleckim, olsztyńskim i koszalińskim.

Mimo wszystkie tzw. obiektywne przyczyny tego stanu rzeczy, nie można się oprzeć przeświadczeniu, że w wielu jeszcze województwach budownictwo szkolne jest na dalszym planie. Świadczy o tym choćby fakt, że inne zadania inwestycyjne planu terenowego są w tych województwach znacznie bardziej zaawansowane.

Np. w woj. poznańskim plan inwestycji szkolnych do 31.VIII wykonano w 41,1%, a inne zadania — w 55,3%. Podobnie sprawa przedstawia się w wojew. kieleckim, zielonogórskim, w m. Łodzi. Usunięcie tych niedociągnięć jest konieczne i wyjątkowo pilne.

MUSIMY BUDOWAĆ TANIEJ

Sprawa kosztów budownictwa szkolnego była ostatnio szczegółowo rozpatrzona przez zespoły fachowców. W oparciu o przeprowadzone analizy — Rada Ministrów ustaliła dla poszczególnych województw przeciętny i maksymalny koszt jednostkowy obliczony na izbę lekcyjną. Cel tych decyzji jest jasny. Chodzi o to, aby budować szkół więcej, ale taniej.

A, jak wskazywały przykłady, nie wszędzie kierowano się dotychczas tą słuszną zasadą. W szeregu przypadków władze terenowe podejmowały budowę zbyt kosztownych szkół w jednych miejscowościach, opóźniając tym samym zaspokojenie palących potrzeb na innym terenie.

Zbyt wysoki koszt pewnych obiektów szkolnych wynikał z poszerzania programu użytkowego ponad obowiązujące normatywy oraz obciążania budów szkolnych znacznymi nieraz wydatkami na kanalizację, wodociąg, elektryfikację, doprowadzenie dróg i in. Jeżeli nawet z względu na lokalizację obiektu takie inwestycje musiały być wykonane, nie powinny one pochłaniać limitów przeznaczonych na budowę szkół.

Koszt jednej izby lekcyjnej ustalony przez Radę Ministrów wynosi przeciętnie w skali krajowej 519 tys. zł. Ze zrozumiałych powodów różni się on w poszczegól-

nych województwach w zależności głównie od tego, jakie w najbliższych trzech latach będą budowane szkoły na danym terenie (mniejsze 3-, 4-, 5, 6-izbowe czy gmachy 11-, 15-izbowe) oraz na jakich gruntach. Z reguły bowiem drożej kosztuje szkoła 15-izbowa, budowana na terenach górzyskich (Podhale) podmokłych (Zuławy) lub tam, gdzie występują tzw. szkody górnicze (Katowickie), a taniej na gruntach tak zwanych normalnych.

Dobór właściwej działki pod szkołę jest ważnym elementem kosztów budowy. Nawet w granicach poszczególnych miast, wsi i osiedli są tereny lepsze i gorsze pod budowę. Nieprzemyslenie tej sprawy i podjęcie pochopnej decyzji może kosztować inwestora setki tysięcy złotych. Służba inwestycyjna i administracja szkolna muszą tych spraw pilnować i bić się o możliwie najlepszą lokalizację dla szkół.

DUKUMENTACJA TYPOWA — RZECZA NIEZBĘDNA

Dla każdego obiektu szkolnego musi być w porę przygotowana przez fachowców dokumentacja techniczna, zawierająca rysunki rozwiązań każdego elementu (fragmentu) budowy, szereg obliczeń, kalkulacje itp. Ale przy tak szerokim programie budownictwa szkolnego trudno sobie wprost wyobrazić, aby architekt opracowywał dokumentację dla każdego obiektu oddzielnie. Konieczne jest oparcie tego budownictwa na pewnej ilości projektów gotowych, zwanych typowymi, w których indywidualnie dopasowywać należy tylko ławy fundamentowe w zależności od tego, jak grunt gdzie ma stanąć szkoła, wytrzymuje ciężar całego budynku.

Było dużo oporów w stosowaniu projektów typowych. Sprzeciwiali się architekci, twierdząc, że system ten ogranicza możliwości pracy twórczej w tej dziedzinie projektowania. Oponowali często też i pedagodzy chcąc mieć „swoją” indywidualny układ i wielkość pomieszczeń w planowanym budynku szkolnym. Próbowano więc wszelkimi sposobami omijać zalecenia stosowania możliwie najszerzej projektów typowych i często opracowywanie kosztownej dokumentacji indywidualnej. Było i tak, że projekt typowy przerabiano gruntownie w indywidualnej koncepcji. Obecnie opory te poważnie zmalały.

W roku bieżącym stosuje się projekty typowe dla 72% rozpoczynających się budów szkół podstawowych, a w roku przyszłym — procent ten wzrosło do 86. Postęp na tym odcinku jest więc widoczny. Są województwa, które w 100% zastosowały dokumentację typową, np. rzeczowski, wrocławski, białostocki, bydgoski, łódzki, poznański, zielonogórski.

Projekty typowe są na pewno dalekie od doskonałości i można im wiele zarzucić. Ale, co byśmy nie powiedzieli, są one z reguły lepsze od indywidualnych. Mamy obecnie 63 projekty typowe dla różnych wielkości szkół podstawowych. W opracowaniu jest ponad 70. Odbywa się ciągła wymiana projektów typowych gorszych na lepsze, nieco już przestarzałych na bardziej nowoczesne, droższych na tańsze.

Dobierając projekt dla konkretnej szkoły, trzeba się orientować w całym asortymencie. Wydziały oświaty obowiązane są mieć komplet tzw. kart katalogowych, z których można się dokładnie zorientować, co dany projekt sobą reprezentuje. Decyzja, jaki projekt zastosować w kon-

(Dokończenie na str. 5)

Szkoła i dom

Zacząć trzeba od spraw najprostszyc

W SPÓŁPRACIE szkoły z domem — problem nie nowy, a jednak — sądząc choćby z liczby korespondencji napływającej do redakcji w związku z artykułami Z. Arcta — wciąż następująco mnoży trudności.

Zmieniły się warunki życia, struktura rodziny, rola i zadania szkoły, a w konsekwencji musiały ulec przeobrażeniu wzajemne stosunki nauczycieli i rodziców. Wobec tych radykalnych przemian konieczne jest znalezienie jakiegoś nowego „modus vivendi”, ustalenie wzajemnych zależności, zasięgu oddziaływania i zakresu kompetencji każdego z współpartnerów.

„Czy szkoła i dom rodzicielski — to równorzędne czynniki wychowania? Czy nie — pisał w jednym z artykułów kol. B. Wystrzałek — szkoła wyznacza rolę kierowniczą, rolę inicjatora, organizatora i koordynatora procesu wszechstronnego rozwoju i wychowania uczniów?”

Słusznie. Rzecz jednak w tym, że do pełnienia tej roli szkoła nie zawsze jest przygotowana i nie zawsze istnieje ku temu odpowiednie warunki.

Kierowanie bowiem procesem wychowania wymaga nie tylko organizowania, w określony sposób, pracy w szkole, ale i „wkroczenia” niejako na teren prywatnego życia ucznia i jego rodziny, teren pilnie zazwyczaj strzeżony przed ingerencją z zewnątrz. A to sprawa trudna, wymagająca ogromnego taktu i przede wszystkim czasu.

Nie ludźmy się, że rodzicom zależy na pozyskaniu nauczyciela (nawet pozorne zabieganie o względy wychowawcy dyktowane jest zazwyczaj określonymi celami), przeciwnie, to nam — co brzmi paradoksalnie — zależy na „zdobyciu” rodziców, to my potrzebujemy ich pomocy i współdziałania dla dobra ich własnych dzieci. Pozyskanie zaufania i życzliwości rodziców — co zgodnie podkreślali wszyscy dyskutanci — to podstawowy warunek, od którego uzależniona jest dobra współpraca szkoły z domem, powodzenie długofalowego procesu kierowania wychowaniem młodego pokolenia. Zdobyć tego zaufania wcale nie jest łatwe i kosztuje wiele wysiłków.

Nie chodzi tu, rzecz prosta, o nadszatkowanie rodzicom, o nadmierną pobłażliwość w ocenie uczniów (często właśnie nauczyciele wymagający, nawet surowi, cieszą się szacunkiem), ale o adekwatność naszych wymagań w stosunku do tego, co sami dajemy uczniom, o sprawiedliwość i konsekwencję w postępowaniu, o umiejętność odróżniania problemów istotnych od drobniactw, o zrozumienie dziecka, o poważny, rzetelny stosunek do ucznia, jego spraw i spraw jego rodziców. Przede wszystkim jednak chodzi o nas samych. Naszą postawę wobec życia, naszą „prawdę” — zgodność między tym, co mówimy, a tym, co robimy.

W wielu listach i artykułach powtarzało się twierdzenie, iż, aby poznać rodziców, zbliżyć się do nich, konieczne jest od-

wiedzenie ich w domu. Bądźmy realni — czy mając 40 — 50 uczniów jesteśmy w stanie złożyć choćby raz w roku wizytę każdemu z nich i czy z drugiej strony, przepracowani często rodzice będą zawsze zachwyceni taką wizytą? Wydaje mi się, iż wystarczy, jeżeli w początkowym etapie pracy odwiedzimy tylko tych uczniów, których stosunki domowe budzą nasz niepokój. Aby jednak nie omylił się w wyborze, aby nie przeczołgał tym najbardziej porębiających naszej pomocy — trzeba dzieci znać.

„Rodzice bardzo krytycznie osadzają brak zainteresowania uczniem — pisała kol. M. Machalska — bardzo przykro odczuwają nadmierne wymagania nauczyciela, brak życzliwości lub wyraźną niesprawiedliwość z jego strony i fakt, że dziecko, dla nich pierwsze i najważniejsze, dla nauczyciela jest tylko jedną z czterdziestu pozycji w katalogu, jednym z

(Dokończenie na str. 3)



Fot. Cz. Górski

„Tylko nie ujawniajcie mojego nazwiska..”

„Dziele mi się krzywdą. Stworzono mi takie warunki, że nie jestem w stanie dalej pracować. Pomóżcie... Tylko błagam, nie ujawniajcie mojego nazwiska”.

„Wiele się mówi i pisze o sprawiedliwości, a jak to wygląda w praktyce — niech ilustracją będzie przykład z naszego terenu... Podpisać się nie mamy odwagi. Z doświadczenia wiemy, jak to wygląda. Przyjeżdża taki od sprawdzania i powiada: patrz pan, co tu na pana napisał. No i wiadomo, jakie potem jest piekło”.

Nie, tym razem nie chodzi o interwencje w tych konkretnych sprawach. Te dwa listy, których urywk przyczyliśmy, wzięte zostały na chybił trafił z teczek redakcyjnych. Takich korespondencji jest znacznie więcej. Ich autorzy opisują różne ludzkie dramaty, krzywdy, szkany, często zresztą piszą nie w swojej osobistej sprawie, lecz krytykują pewne niedociągnięcia w pracy na swoim terenie, sygnalizują problemy. Cechą wspólną tych krytycznych korespondencji jest jedno. Bardzo często, niepokojące często, powtarza się prośba: „Tylko nie ujawniajcie mojego nazwiska”. I to jest właśnie sprawa, której warto poświęcić nieco uwagi.

Czy autorzy tych listów anonimowych, a najczęściej podpisywanych, lecz z zastrzeżeniem nieujawniania ich — nie są przekonani o swej słuszności? Bywa i tak, choć rzadziej — na naszym, nauczycielskim podwórku — rzadko. Częściej krytykujący mają rację, lecz boją się po prostu szkan ze strony krytykowanych.

I jeżeli jeszcze piszą o osobistych sprawach, na ogół nie zastrzegają sobie tajemnicy, gdyż wówczas już z reguły nie mają nic do stracenia — to wtedy, gdy ustosunkowują się krytycznie do pewnych przejawów biurokratyzmu, łamania praworządności czy braków w pracy na swoim terenie — bardzo często podają nazwisko wyłącznie do wiadomości redakcji. Bają się przychylić dla siebie konsekwencji. A repertuar takich szkan ze strony zwierzchnika może być, i bywa, bardzo urozmaicony. Od bardzo subtelnych, nieuchwytnych, lecz zaturbowujących życie i uniemożliwiających normalną pracę drwin aż do niedowzmaczných już represji w postaci złej opinii, dyscyplinarki.

Na naszej wrzesniowej naradzie z czytelnikami „Głosu” — obok wielu problemów — stanął i ten właśnie: obrony korespondentów przed represjami. Uczestnicy podawali przykłady, świadczące, że ze stosunkiem do krytyki nie jest w naszym zawodzie najlepiej. I dlatego o wielu sprawach nauczyciele po prostu boją się pisać. Czy można się temu dziwić?

REDAKCJA nasza zaalarmowana skargami na jednego z inspektorów — wysłała do tego powiatu swego przedstawiciela w celu sprawdzenia zarzutów. W większości okazały się one prawdziwe. Potwierdzały to zresztą i władze wojewódzkie. Zaledwie jednak dziennikarz zdążył wrócić do Warszawy — pocztą redakcyjną przyniosła pięć niemal jednorodnych listów — od kierowników szkół, nie ze sprawą nie mających wspólnego, w których wnoszone były pod niebiosa cnoty owego inspektora. Dziennikarz nie formułował swojej opinii tam, na miejscu, po prostu sprawdzał, lecz inspektor na zasadzie „uderz w stół...” znalazł obrońców, którzy „przyprawkowo” dowiedzieli się i w identycznych tekstach „protestowali”.

Meritum tej sprawy jest już nieaktualne. Ale nadal aktualne jest zagadnienie

i Okręgu Warszawskiego. Wszystkie pochwały pełne nauczycieli okupujących gmach ZNP.

Wczesnym rankiem — policja gołdziłowska „oczyściła” gmach związkowy z rebeliantów.

O wyznaczonej zbiórce przed gmachem Związku nie mogło być mowy. Toteż zaryły się sąsiednie ulice, a szczególnie, Czerwonego Krzyża. Zarząd Oddziału zjawiał się w komplecie.

Kol. Stanisław Wiącek chce urządzić wiec w „Ateum”, aby w ten sposób oczekiwać na przybycie większej liczby nauczycieli i uchronić się przed ewentualną interwencją policji.

— Wiaśnie to ułatwił policji niedopuszczenie do pochodu — twierdzą inni.

Przybywający tworzą czwórki posuwające się bardzo wolno Wybrzeżem w stronę wiaduktu Poniatowskiego. Nie ma słonecznej masy. Jest pochód! Na wiadukcie pochód coraz bardziej pęcznieje i wydłuża się; na rogu Nowego Świata i Al. Jerozolimskich liczy już ponad 900 osób. Wskutek rozkopania jezdní, maszerowano lewym chodnikiem w stronę placu Trzech Krzyży. W pierwszej czwórce szli: Chrościcki, Dobraniecki, Mamczar i Piotr Wysocki. Tuż u wylotu Książęcej zjawia się policja, zagrążając drogę pochodowi. Pada rozkaz: „Rozejście się!” Szuk pochodu załamuje się, lecz nikt nie zwraca, wszyscy wiedzą, dokąd mają iść. Rozbiegana policja rozpięta się w lawinie ludzkiej rozlanej po placu Trzech Krzyży, a zmierzającej ku Belwederowi. Akcję utrudnia szerokość Al. Ujazdowskich oraz fakt, że strumienie pochodu płyną również bocznymi ulicami.

Mimo pusznięcia w ruch pałek policyjnych, duża gromada dotarła do bram Belwederu. Delegacja strajkujących wchodziła na dziedzińiec, by wpisać słowa protestu do księgi pamiątkowej. Policja gotuje się do „ataku”, lecz w tej samej chwili rozlega się hymn narodowy — komisarz policji salutuje. Zastępa w ruchu policja piesza i konna.

Wart, jest zapamiętania moment, kiedy to kol. Dioniza Wyżyńska w imieniu delegacji dziękowała panu komisarzowi za „nieutrudnianie” nauczycielstwu wpisania się do księgi pamiątkowej. Wtedy nie wiedziała jeszcze ona, że pan komisarz spodziewał się manifestacji przed gmachem Ministerstwa Oświaty, gdzie kazał zaistniać modny wówczas przyrząd do rozpędzania tłumów, a mianowicie sikawkę strażacką. Tym razem nie przysłała się.

Przez całą noc z 3 na 4 października czynne są telefony w lokalach Oddziału

(Dokończenie na str. 2)

stosunku do krytyki. Bo jeśli wobec dziennikarza próbowano takich środków presji — to cóż mówić o ludziach, którzy tam, na miejscu, pozostają i nadal muszą pracować właśnie pod kierownictwem tych, których dotknęła krytyka?

Jeden z kolegów napisał artykuł, w którym zajął się problemem dokształcania i czystości. Rzecz zdawałoby się niewinna, neutralna. Popelnił jednak ten „nietakt”, że omawiając problem zilustrował go przykładem z własnego terenu. No i zaczęło się. Inspektorat przysłał protest podpisany nie tylko przez władze powiatowe, ale i przez jednego — jak to stwierdził zainteresowany — z członków Zarządu Oddziału ZNP i zaopatrzonej w pieczęć tego ogniwa. Miano autorowi za zię, że mógł tylko o braku, a pominął osiągnięcia.

Došlo do tego, że autor nieszczyśnego artykułu żył w atmosferze takiego napięcia, iż nie mógł się przygotowywać do egzaminów, całą energię zużywał na, znalezienie wyjścia z sytuacji. Miejscowe ognisko stanęło po stronie korespondenta przysyłając mu słuszność. Podobne stanowisko zajął — jak nas poinformował zainteresowany — Zarząd Okręgu ZNP. W czym interesie była ta „burza w szklance wody”? Trudno byłoby się dziwić, gdyby naszym korespondentowi na dłuższy czas odechciało się takiej „problemowej krytyki”.

Celowo zastrymaliśmy się dłużej na przykładach. Ilustrują one bowiem najmówniej wagę poruszanego problemu.

Ze w tej dziedzinie naszego życia społecznego jest wiele niedociągnięć — świadczy o tym fakt, iż problemem stosunku do krytyki zajęły się nasze najwyższe władze państwowe i partyjne już w 1949 roku. Rada Państwa i Rada Ministrów podjęły wówczas uchwałę w sprawie rozpatrywania i załatwiania odwołań, listów i zażaleń ludności oraz krytyki prasowej. W punkcie 7 tej uchwały czytamy:

„Wszelkie próby kamowania lub tłumienia krytyki w szczególności przez groźby lub inne formy straszenia... winny być natychmiast piętnowane i surowo karane jako przestępstwo w myśl postanowień ustaw karnych”.

W tym samym czasie ukazała się podobnej treści uchwała KC PZPR. W jedenaście lat potem, w kwietniu 1960 roku, podjęła została przez sekretariat naszej partii uchwała w sprawie krytyki prasowej. Oto fragmenty tego dokumentu, którego adresatem są nie tylko członkowie partii.

„Niezbędne jest przypomnienie ogółowi członków partii, a zwłaszcza aktywnym partyjnemu, że jego obowiązkiem statutowym jest zwalczać wszelkie przejawy życia w życiu społecznym i że członkowi partii nie wolno zamykać oczu na niewłaściwe postępowanie wyrządzające szkodę interesom partii i państwa ludowego, i sprawie mas pracujących.”

Ten, kto lekceważy, pomija miłczenie rzetelną i uzasadnioną krytykę prasową, bądź też co gorsza dopuszcza się represji wobec ludzi publicznie piętnujących dostrzeżone objawy zła, wyrządza szkodę socjalizmowi”.

Warto tekst tej uchwały przypomnieć tym wszystkim, którzy wszelką krytykę określają jednym mianem: „rozbrajactwo”. Nauczyciel, ten w terenie, dostrzega najlepiej, bo w praktyce, przejawy różnych niedociągnięć. I może je sygnalizować, ale musi być pewien, że będzie wzięty w obronę.

(Dokończenie na str. 5)

Kogo zabrakło na ławie oskarżonych?

Art. 25 ustawy o prawach i obowiązkach nauczycieli mówi: „Nauczyciele zatrudnieni na terenie wszystkich wsi oraz osiedli i miast do 2000 mieszkańców mają prawo do bezpłatnych mieszkań w miejscu pracy”.

Tyle prawo. A jak wygląda jego konfrontacja z życiem? Przekonałam się o tym w czasie pobytu w jednej z gromad powiatu bystrzyckiego, gdzie brałam udział w rozstrzygnięciu ostrego konfliktu, jaki rozgorzał się przed dwoma laty między nauczycielką a miejscowymi władzami.

W AKCJE uspokoiły wszystkich. Po sprawie sądowej, w GRN w dalszym ciągu obowiązuje nauczycielce (tak na „słowo honoru”), że otrzyma nowe mieszkanie w innym bloku, a wraz z tym skończy się jej kłopoty. I rzeczywiście nauczycielka miałaby zapewne dziś spokój, gdyby...

Ważnie gdyby... Z dniem 1 września bieżącego roku przeniesiono ją do pracy w Szkole Specjalnej w tej samej miejscowości. I wówczas zaczęło się wszystko od początku. W GRN odetchnięto nareszcie z ulgą: w pojęciu pracowników rady wraz ze zmianą szkoły nauczycielka R. straciła automatycznie prawo nie tylko do wszelkiego rodzaju świadczeń, jak przydział opłat, bezpłatny jego przewóz itp. ale i do bezpłatnego mieszkania. Od września każda prośba Władysława R. zbywano laudarnym stwierdzeniem: „Nie zrobimy dla pani nic, teraz podlega pani kuratorium”.

Wobec zbliżającej się zimy zrozpaczona kobieta, pisze do redakcji: „Pomóżcie... Zabrakło mi już sił, czasu i cierpliwości na prośby w różnych władzach... Do kogo mam się zwrócić o ostateczny przydział mieszkania, które zajmuję bezprawnie i nie jestem w nim pewna jutra... Czyżby nauczyciele wieki, zawsze musimy być pokrzywdzeni i to w dodatku dlatego tylko, że ktoś nie zna przepisów?... Po czyjej stronie jest prawo?...”

Otóż właśnie. Po czyjej stronie jest prawo? Jest zupełnie oczywiste, że nauczycielka R. sprawę musiała przegrać i o wynik wcale tu nie chodzi. Przekroczyła prawo, była winna. Znamyśmy jednakże fakt, że nie była winna. Nauczycielki ani miejscowe społeczeństwo, ani nawet pracownicy GRN, którzy przecież pozostają z nią w ciągłym konflikcie. Biorąc rzecz z punktu widzenia społecznego — wszyscy starają się usprawiedliwić krok Władysława R. Nie jestem pewna, czy każdy z nas znalazłby się w identycznych warunkach, nie postąpiłby podobnie? Dlatego czuję się w obowiązku skierować pytanie pod adresem miejscowych władz: dlaczego dopuścili do tego, aby nauczycielka musiała iamać praworządność?

PTANIE to wymaga tym bardziej wyczerpującej odpowiedzi, że do dziś konflikt nauczycielki — GRN nie został rozstrzygnięty, gorzej — urosł do rozmiarów tak wielkich, że Władysława R. zmuszona jest pisać o pomocy do Warszawy. Drzy bowiem ze strachu, że o tym po raz drugi znajdzie się w sądzie. Bo w tym roku GRN umyła ręce i odsła nauczycielkę do kuratorium.

A co o tym sądzą władze powiatowe? Przewodniczący Prezydium PRN, ob. Baran zaskoczony jest wiadomością, że Władysława R. miała proces. Nie wie też nic o tym, że GRN odmawia udzielenia jej pomocy w przydziale węgla i podwoju. Przewodniczący reaguje natychmiast: podnosi słuchawkę i prosi o połączenie z GRN w D. Krótko i rzeczowo przypomina sekretarzowi obowiązki rady wobec nauczycielki R. W rozmowie nie pada ani jedno słowo „musicie wykonać”, ale czuje się, że wszystko jest rozkazem. Przewodniczący nie odkładał sprawy do akt, nie starał się nawet przekazać jej komuś, co do swych pracowników. W ciągu kilku minut załatwił sam, dając w ten sposób o sobie jak najlepsze świadectwo gospodarza w pełni odpowiedzialnego za wszystko, co dzieje się na terenie powiatu.

Prezes Oddziału Powiatowego ZNP, kol. J. Chmielnicki powiedział: „W sprawie mieszkanca koleżanki R. interweniowałem kilkakrotnie u władz. Zrozumienie znalazłem jedynie u przewodniczącego Prezydium PRN, który zresztą nie od dziś żywo interesuje się nauczycielami. Nie bez wpływu PRN gromadzkie rady narodowe w Idzikowie i Sta-

rej Bystrzycy zakupiły dom na mieszkanie dla nauczycieli. W wypadku gromady D. sprawa jest o tyle skomplikowana, że konflikt powstał na tle wadliwej interpretacji przepisów. Rozmawiałem osobie z sekretarzem GRN w D., próbowałem tłumaczyć, po czyjej stronie jest słuszność. Niestety, moje wyjaśnienia trafiały w próżnię, widocznie takiej organizacji, jak oddział powiatowy ZNP nie bierze się tam serio. Oni uparcie trwają przy tym, że opieka nad nauczycielami szkoły specjalnej nie należy do nich.

Istotnie. Wszyscy w GRN w D. są o tym świadomie przekonani. Tylko sekretarz wyraził zastrzeżenia, co do słuszności dotychczasowych poczynań rady i przyznał się, że GRN nie była w porządku wobec nauczycielki. Więcej — sekretarz zobowiązał się naprawić zło i wierze, że słowa dotrzyma, było to wszak po konfrontacji poglądów w Prezydium PRN.

Czy jednakże po to, aby wyjaśnić, na czym polegały obowiązki GRN wobec nauczycielki, konieczny był przyjazd dziennikarza z Warszawy? Czy też bezduszność sprawy nie można było załatwić na miejscu? Pytania te kieruję nie tylko komuś pod adresem działacza i władz terenowych powiatu bystrzyckiego, choć ich dotyczą one bezpośrednio. Podobne wypadki zdarzają się jeszcze dość często w całym kraju, ludziom dzieje się krzywdy tylko dlatego, że ktoś nie zna lub świadomie nie chce znać podstawowych przepisów prawa. I dlatego chyba tych ludzi wraz z oskarżanymi należałoby stawić przed sądem. Za nieznaną oskarżeni przepisy, za krzywdy, jakie dzieją się z tego powodu. Lekarza, który zamiast wyrostka robaczkowego usunąłby choremu żołądek, nie usprawiedliwia w żadnym wypadku fakt, że nie znał on dokładnie podstaw anatomii. Postępowanie takie jest karalne, chodzi bowiem tu o ludzkie życie. Dzwim jednak, że tych samych konsekwencji nie ponoszą wszyscy, którzy w jakimś stopniu decydują o losie innych ludzi. To demoralizuje: często podejmując się więc decyzje zbyt pochopnie, bez pozucia odpowiedzialności za wynik.

I wreszcie ostatnia bardzo ważna sprawa: we wszelkiego rodzaju pracach społecznych — zarówno organizacje społeczne jak i władze terenowe — widzą przede wszystkim Związek Nauczycielstwa Polskiego. Żadna akcja społeczna nie odbyła się jeszcze bez udziału nauczycielstwa. Dlatego przy decydowaniu o losach nauczycielki bagatelizuje się tu i ówdzie stanowisko ogólnie ZNP? Czy jest aż tak źle, że nikt nie jest w stanie udowodnić skłóconym, po czyjej stronie jest prawo?

M. RYBARCZYK

W powiecie skłerniewickim

Nie było przeciwników strajku

MINIŁO już ćwierć wieku od tych wydarzeń, a mimo to wiele szczegółów zachowało się dotąd w pamięci z pełną wyrazistością.

Nauczycielstwo powiatu skłerniewickiego — jak i całe Polskę — było w pierwszych chwilach wyraźnie zaskoczone decyzją rządu Składowskiego, mocą której zawieszony został Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ale szybko zorientowano się, jakie były prawdziwe przyczyny i cel tego uderzenia. Po opublikowaniu akcie oskarżenia (tzw. oświadczeniu), w którym pod adresem kierownictwa Zarządu zawarte zostały trzy rodzaje „zarzutów”: polityczne, społeczne i formalno-prawne, dotarło do powiatu oficjalne oświadczenie nie Zarządu Głównego w tej sprawie i pierwsze dyrektywy, co należy robić w nowej sytuacji. Z dokumentów tych wynikało jasno, że Zarząd Główny nie wypuścił steru z rąk i podjął walkę.

Aktyw związkowy w powiecie (zarząd oddziału, zarząd ognisk) postawił się w stan gotowości. Nawigacja codzienna nie miała żadnego poszerzonego omówienia oraz kontakty z Warszawą. Podjęto, wskazane przez Zarząd Główny, formy oporu: odczytano (w czarnej opasce często) „Głos Nauczycielski” i inne czasopisma, które redagowała teraz klika kuratora Musiela, zaprzestano placenia składek. Z nępotą uważa siedzieli wszyscy przebieg dalszych wydarzeń. Dyskutowano dużo i namietnie, analizowano wstępnym krokiem każdą nową informację. Sprawa poruszała do żywego nawet tych, którzy — jak twierdził — nigdy dotąd nie mieszał się do polityki i nie angażował się po żadnej stronie.

Reakcja weszła możliwie rozbicia ZNP. Odezwały się ambony. Wzmógł się nacisk na nauczycielstwo, aby je odciągnąć od swej organizacji zawodowej. Na szpaltach konserwatywnej prasy wielkimi literami pisano o rzekomych nadziejach finansowych i zabagnionej gospodarce w ZG ZNP, odpowiednio komentowano i rozgrywano „zarzuty” polityczne i społeczne postawione przez Składowskiego. Było więc o czym dyskutować. Ale skutek tej wrzawy sanacyjno-klerykalnej był wręcz odwrotny. Coraz bardziej ożywiały się ognia ZNP, następowała konsolidacja szeregów związkowych, wzrastała opór i gotowość walki. Coraz większa poczynnością cieszyło się czasopismo „Wiadomości Nauczycielskie” reprezentujące głos faktycznego kierownictwa Związku.

Uderzenie sanacji w Związek stało się niewątpliwie jednym z czynników przyspieszających proces podnoszenia się poziomu świadomości politycznej nauczycielstwa. Tego procesu nie zdolały zahamować także próby wygrania sytuacji na rzecz sanacji i umacniania legendy Piłsudskiego przez lansowanie twierdzenia, że gdyby Piłsudski żył, to nie dopuściłby do czegoś podobnego.

Fakt zawieszenia Zarządu Głównego ZNP nakłonił szeregi nauczycielskie do gruntowniejszego przemyślenia wielu spraw i zjawisk ówczesnego życia kraju. Ich wzajemnego spłotu i zmuszał do głębokiego zastanowienia się nad pytaniem, do czego to wszystko zmierza, jakie mogą być dalsze skutki tego, co się dzieje. Następowo wyraźniejsze rozeznanie w liniach podziału klasowego społeczeństwa i toczącej się walki. W rezultacie czego w innym świetle rysowała się dla wielu także rola, miejsce, funkcja nauczyciela w szkole i w życiu społecznym.

W rok później, kiedy na jednej z konferencji nauczycielskiej w tym powiecie dyskusowano o układzie sił społecznych na wsi i przeprowadzono ocenę, co tworzy nurt postępowy, a co zachowawczy, obecni na zebraniu przedstawiciele władz szkolnych byli mocno podenerwowani tym wszystkim, co mówili nauczyciele. Sympatie do radykalno-postępowych sił robotniczych i chiopskich wśród wielu zabierających głos były niewątpliwie.

Dalszy proces radykalizacji szeregów nauczycielskich w pow. skłerniewickim dokonywał się po tragicznym wrześniu 1938 r. i w czasie okupacji, kiedy rozwijała na szeroką skalę działalność oświatowa pod kierownictwem TON. Nie kończąc się dyskusje otwierały w końcu na to, co się w Polsce dzieje i do czego faktycznie zmierza rządząca klika sanacyjna. Zbyt mocno zapachniało to wszystkim naszym, zbyt podobne było do aktów terroru, jakie zastosował Hitler wobec całego ruchu zawodowego i ośrodków opozycji politycznej. Niejednemu nauczycielowi-związkowcowi ten fakt dopiero ukazał w pełnym świetle prawdziwe oblicze sanacji i wyraźną groźbę faszyzacji życia kraju.

W dniu strajku wszystkie szkoły odwiedziła policja badając, kto polecił je zamknąć, jak nazywa się kierownik, jaki jest jego adres itp. Leczą jeszcze tego dnia ci sami policjanci zjawili się w szkołach po raz drugi zaznaczając, aby poprzednią ich wizytę uważać za niebyłą.

Więść o udanym strajku nauczycielstwa stołecznego błyskawicznie przedostała się do wszystkich zakątków Polski. Toteż już następnego dnia, 5 października, ka — trasą pochodów nauczycieli warszawskich bez przeszkód przemarszerował pochod protestacyjny nauczycielstwa powiatu warszawskiego. Następnego dnia i tygodnie przynosiły coraz to nowe wieści o zjazdach protestacyjnych i strajkach.

Inspektorom warszawskim polecono przeprowadzić imienne badania, kto strajkował w dniu 4 października i dlaczego. Wynik tych badań był dla rządu druzgocący: nikiły był odsetek tych, którzy nie przegrali pracy, a na pytanie „dlaczego?” strajkujący odpowiadali: „Protestujemy przeciw zamachowi na ZNP!”

W 25 rocznicę strajku pragnę podkreślić to, czego nie stwierdziłem już nigdy potem, a mianowicie: niebywałą solidarność administracji szkolnej (inspektorów) z nauczycielstwem. Im to w dużej mierze zawdzięczać należy ową atmosferę i życzliwość w dniach wspomnianych już „dochożeń”. Na specjalne uznanie zasłu-

tego powołany komitet, którego członkowie wzięli udział w spotkaniu. Wielu spośród uczestników tej imprezy wyrażało żal, że — mimo zaproszeń — nikt z Zarządu Okręgu ZNP w Lublinie nie wzięło udziału w obchodzie łukowskim. A chyba należało?

Przewodniczącemu temu nadzwyczajnemu zjazdowi powiatowemu — bo tak chyba można nazwać to spotkanie z okazji 25 rocznicy — inspektor szkolny, kol. Bartkiewicz przekazał, za pośrednictwem podpisanego pod tą notatką, serdeczne podziękowanie przesyłając Zarząd Główny ZNP, kol. Kwiatkowski, który w imieniu Sekretariatu i swoim własnym przesłał uczestnikom zjazdu życzenia i wyrazy uznania za ich ówczesną postawę.

St. B. Kiedy tak spoglądałem na tych ludzi sprzed 25 lat, kiedy słuchałem ich wspomnień z tamtych dni październikowych — nie mogłem uwolnić się od nieprzejmionej zadumy. Wśród tych stukildziesięciu osób biorących udział w Zeździe — mała grupka uczestników strajku naszym, chyba tylko wiekiem, nie wyróżniała się od reszty.

Wyróżnić się powinna była złotym odznakami związkowymi. To im się chyba należało? I nie wiadomo, czyż to wina: zarządu oddziału powiatowego czy okręgu? Po starym, jak w 1937 roku, siedzą w tym samym powiecie, często w tych samych wsiach, z okazji — rzadkich zresztą — uroczystości wspomniani. Ale tylko wspomniani.

Wszyscy rozchodzili się mocno podnieceni. Delegaci ognisk rozjechali się czym prędzej w teren, aby powiadomić każdego nauczyciela o przebiegu i wynikach zebrania. Niech każdy wie możliwie najwcześniej, że postanowiono przerwać zajęcia na jeden dzień i zorganizować manifestację w mieście powiatowym i niech każdy ma możliwość przemyślenia całej sprawy i podjęcia decyzji z całą świadomością. Miejscowe władze oczywiście wiedziały, gdzie i kiedy odbyło się zebranie aktywny i co na nim uchwalono. W obawie o własną skórę przede wszystkim próbowały przeciwdziałać przeprowadzeniu manifestacji. W punkcie przez gabinet starosty i inspektora szkolnego przewinęło się szereg osób, o których wiadano, że należą do grupy głównych organizatorów akcji. Groźba i prośba chcieli ich nakłonić do zdrady sprawy. Nic z tego nie wyszło.

W POWIECIE przygotowywano tymczasem akt protestu na piśmie, który miał być wręczony przez wybraną delegację władz powiatowym. Dyskutowano zdanie po zdaniu, wyraz po wyrazie. Taktyka nakazywała specjalne sformułowanie tego aktu. Postanowiono, że akt protestu podpisany zostanie przez wszystkich, którzy zdecydowali się wzięcie udziału w manifestacji. Równocześnie skwapliwie zbierano wieści z powiatu o postawie i reakcjach koleżanek i kolegów z poszczególnych szkół na postanowienia aktywny, którego naradą była dobra wróżba. Informacje były na ogół bardzo pożyteczne. Wzrastało przekonanie, że sprawa musi się udać. Układano więc szczegóły przebiegu manifestacji; którymi ulicami przejdzie pochod, kto będzie zwołał wódcę powiatowym przygotowany akt protestu, gdzie się wszyscy zatrzymają i odpowiadają hymn narodowy.

Jak się później zwierzano, ostatnią nie mało kto przespalił normalnie, wszystkich jednak meczy niepokój, jak wypadnie manifestacja, o ile dzień następny będzie przejawem solidarności związkowej.

Przysłaliśmy na miejsce zbiórki nieco wcześniej. W miarę jak zbliżała się umówiona godzina (chyba jedenaście przed południem), zjeżdżali się furmankami i na rowerach nauczyciele z różnych stron powiatu. Niektórzy musieli wjechać do trzech kilometrów. Witano się serdecznie, mowniejszy niż zwykle uściskiem rąk, głębiej patrzono sobie wzajemnie w oczy. Na twarzach wszystkich malował się spokój i powaga. Podchodzili do stołu i kładli podpisy na przygotowanym akcie protestacyjnym. W miarę jak rosła gromada nauczycielska, znikła obawa o to, jak wypadnie ten egzamin ideologiczny. Manifestacja solidarności była pełniejsza niż przewidywano. Przerwali pracę i przyjechali do Skierniewic nawet niektórzy nauczyciele nienależący do ZNP.

Uformował się pochod i ruszył ustaloną trasą. Widać to, mieszkańcy miasta przystawali na chodnikach, rozpytywali, co się dzieje i z zadumą patrzyli na wychowawców swych dzieci kroczących w pochodzie. Niektórzy z nich z szacunkiem zdejmowali nakrycia głowy. W trójkę poszliśmy złożyć protest na piśmie inspektorowi szkolnemu w imieniu nauczycielstwa powiatu. W biurze poinformowano nas, że inspektor jest nieobecny. Spodziewaliśmy się, że taką otrzymamy odpowiedź. Złożyliśmy więc dokument domagając się, aby bezwzględnie został doręczony inspektorowi.

Pochód zakończył się przy jednej ze szkół odpowiadaniem „Jeszcze Polska...”. Granatowa policja cały czas czuwała nad manifestującymi nauczycielami. Kilku stróżów ówczesnego porządku szło trop w trop za pochodem, aż do momentu rozwiązania manifestacji. Rozchodzili się wszyscy grupami, powoli, spokojnie, z poczuciem spełnionej obowiązku. Nikomu się jakoś nie spieszyło do domu, gdzie czekały codzienne sprawy.

Przeprowadzono także zbiórki pieniężną na akcję walki o niezależność naszej organizacji zawodowej. Zebrano się sporo grosza. Kiedy wręczyłem tę nienotowaną w księgach składek koleżce Zyguntowi Nowickiemu, wruszył się serdecznie, kazał sobie w szczególności opowiedzieć przebieg manifestacji w powiecie. Był głęboko przekonany, że zwycięstwo będzie po naszej stronie.

UCZESTNIK



3 października odbyła się uroczysta inauguracja roku akademickiego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. W uroczystości wzięli udział minister oświaty — Wacław Tułowiecki. W przemówieniu podkreślił on, że krakowski uczelnia pedagogiczna uważana jest za jedną z produkujących w Polsce; utrzymuje kontakt z krakowskimi pedagogami; w tym roku akademickim przekracza granice województwa otwierając w Rzeszowie punkt konsultacyjny. Podczas uroczystości wręczono 5 pierwszych dyplomów doktorskich.

Z okazji 13 rocznicy powstania Chińskiej Republiki Ludowej — bawiła w Kolożbrze na zaproszenie Zarządu Oddziału ZNP (w porozumieniu z KP PZPR) 2-osobowa delegacja ambasady ChRL w Polsce. Goście odbyli trzy spotkania na terenie Kolożbrze: z uczniami Zasadniczej Szkoły Zawodowej (około 300 osób), z uczniami Liceum Ogólnokształcącego (600 osób) oraz ze słuchaczami Studium Nauczycielskiego i z nauczycielami (około 200 osób). Wszędzie witani byli bardzo serdecznie, kwiatami i regionalnymi upominkami.

Zarząd Oddziału Powiatowego ZNP w Sremie urządził spotkanie koleżanek i kolegów, którzy w bieżącym roku szkolnym rozpoczęli pracę w zawodzie nauczycielskim — z przedstawicielem władz oświatowych i członkami prezydium zarządu Oddziału. W czasie spotkania młodzież zapoznali się z tradycjami naszego Związku, z prawami i obowiązkami związkowca. Spotkanie upiętno w prawdziwie związkowej atmosferze.

Staraniem Zarządu Okręgu ZNP w Rzeszowie odbyła się w ostatnich dniach września wycieczka prześrodk ognisk. Uczestnicy zwiedzili Nową Hutę, Kraków, byli w operetce. Następnie udali się do Zakopanego, gdzie w domu wypoczynkowym ZNP odbyło się spotkanie poświęcone wymianie doświadczeń z pracy ognisk 5 powiatów województwa rzeszowskiego. W dyskusji przeanalizowano także problemy jak: reforma szkolna, wychowanie laickie młodzieży, działalność kulturalna ognisk ZNP, organizacja konferencji rejonowych, konkurs „Nasze ognisko dobrze pracuje”.

Zgodnie z tradycją — z okazji Miesiąca Odbudowy Kraju i Stołicy — Zarząd Oddziału Miejskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Szczecinie zorganizował w urzędniu zbiórki uliczną na rzecz Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stołicy. W zbiorce wzięło udział ponad 130 nauczycieli. Ogółem zebrano około 8 500 złotych. Z inicjatywą Zarząd Oddziału Powiatowych ZNP — we wszystkich powiatach nauczyciele również zbierali na SFOKIS. Część zebranych pieniędzy zostanie przekazana na budowę obiektów kulturalnych i sportowych w Szczecinie i województwie.

KRONIKARZ

Warszawa — nie zawiodła

(Dokończenie ze str. 1)

Mimo agitacji niektórych kolegów, aby strajk jednodniowy zamienić się w trwały, licząc na poparcie innych związków, ogólnie nauczycielstwa usłuchał wezwania zarządu stołecznego władz ZNP i na drugi dzień wszystkie szkoły były czynne. W dniu strajku wszystkie szkoły odwiedziła policja badając, kto polecił je zamknąć, jak nazywa się kierownik, jaki jest jego adres itp. Leczą jeszcze tego dnia ci sami policjanci zjawili się w szkołach po raz drugi zaznaczając, aby poprzednią ich wizytę uważać za niebyłą.

Więść o udanym strajku nauczycielstwa stołecznego błyskawicznie przedostała się do wszystkich zakątków Polski. Toteż już następnego dnia, 5 października, ka — trasą pochodów nauczycieli warszawskich bez przeszkód przemarszerował pochod protestacyjny nauczycielstwa powiatu warszawskiego. Następnego dnia i tygodnie przynosiły coraz to nowe wieści o zjazdach protestacyjnych i strajkach.

Inspektorom warszawskim polecono przeprowadzić imienne badania, kto strajkował w dniu 4 października i dlaczego. Wynik tych badań był dla rządu druzgocący: nikiły był odsetek tych, którzy nie przegrali pracy, a na pytanie „dlaczego?” strajkujący odpowiadali: „Protestujemy przeciw zamachowi na ZNP!”

W 25 rocznicę strajku pragnę podkreślić to, czego nie stwierdziłem już nigdy potem, a mianowicie: niebywałą solidarność administracji szkolnej (inspektorów) z nauczycielstwem. Im to w dużej mierze zawdzięczać należy ową atmosferę i życzliwość w dniach wspomnianych już „dochożeń”. Na specjalne uznanie zasłu-

tego powołany komitet, którego członkowie wzięli udział w spotkaniu. Wielu spośród uczestników tej imprezy wyrażało żal, że — mimo zaproszeń — nikt z Zarządu Okręgu ZNP w Lublinie nie wzięło udziału w obchodzie łukowskim. A chyba należało?

Przewodniczącemu temu nadzwyczajnemu zjazdowi powiatowemu — bo tak chyba można nazwać to spotkanie z okazji 25 rocznicy — inspektor szkolny, kol. Bartkiewicz przekazał, za pośrednictwem podpisanego pod tą notatką, serdeczne podziękowanie przesyłając Zarząd Główny ZNP, kol. Kwiatkowski, który w imieniu Sekretariatu i swoim własnym przesłał uczestnikom zjazdu życzenia i wyrazy uznania za ich ówczesną postawę.

St. B. Kiedy tak spoglądałem na tych ludzi sprzed 25 lat, kiedy słuchałem ich wspomnień z tamtych dni październikowych — nie mogłem uwolnić się od nieprzejmionej zadumy. Wśród tych stukildziesięciu osób biorących udział w Zeździe — mała grupka uczestników strajku naszym, chyba tylko wiekiem, nie wyróżniała się od reszty.

Wyróżnić się powinna była złotym odznakami związkowymi. To im się chyba należało? I nie wiadomo, czyż to wina: zarządu oddziału powiatowego czy okręgu? Po starym, jak w 1937 roku, siedzą w tym samym powiecie, często w tych samych wsiach, z okazji — rzadkich zresztą — uroczystości wspomniani. Ale tylko wspomniani.



Kol. Jan Losy, kierownik szkoły w Szydłowie, pow. Mołdziejewski, rozpoczął pracę nauczycielską w 1912 roku w jednoklasowej szkole w Skarżewie, pow. Ostrołęcki. W czasie okupacji hitlerowskiej został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego.

Po wojnie zatrudniony na pierwszej placówce w Kolożbrze, gdzie w Szydłowie jest inicjatorem rozbudowy tamtejszych szkół.

Zasłużonemu Jubilatowi składamy jak najserdeczniejsze życzenia wszystkiego najlepszego.

St. B.

Kiedy tak spoglądałem na tych ludzi sprzed 25 lat, kiedy słuchałem ich wspomnień z tamtych dni październikowych — nie mogłem uwolnić się od nieprzejmionej zadumy. Wśród tych stukildziesięciu osób biorących udział w Zeździe — mała grupka uczestników strajku naszym, chyba tylko wiekiem, nie wyróżniała się od reszty.

Wyróżnić się powinna była złotym odznakami związkowymi. To im się chyba należało? I nie wiadomo, czyż to wina: zarządu oddziału powiatowego czy okręgu? Po starym, jak w 1937 roku, siedzą w tym samym powiecie, często w tych samych wsiach, z okazji — rzadkich zresztą — uroczystości wspomniani. Ale tylko wspomniani.

Odpowiedzi redakcji

W. Z. — Zamość. Nie możemy całego numeru zapelnic tym materialem. I tak w każdym zamieszczamy sporo wspomnień, o które Wam chodzi. Do końca roku pozostało jeszcze wiele czasu i postaramy się wykorzystać to wszystko, co racza trochę światła na historię strajku nauczycielskiego w 1937 roku. W tym np. numerze „Głosu” damy dwa wspomnienia dotyczące Warszawy i Skierniewic, w następnym — Krakowa. Trochę cierpliwości.

Wychowawca z Domu Dziecka. O trudnej młodzieży wypowiadali się na łamach „Głosu” lekarze, sędziowie, adwokaci, nauczyciele. To jest — i na pewno wciąż będzie — problem zawsze aktualny, pobudzający do dyskusji, wywołujący wiele sprzecznych opinii. Kolega uważa, że na ten temat należy więcej pisać, a koleżanka, która złożyła nam w redakcji wizytę, gdy usłyszała, że szukamy tytułu do artykułu o trudnej młodzieży zawałota: „Dajcie spokój z tym tematem, kto to będzie czytać?”

J. K. — Warszawa. To nie jest takie proste. Ocena „Głosu” jest bardzo ciekawa. Np. ten sam autor na początku artykułu wyraża niezadowolenie z powodu zbyt długiego „spedagogizowania” pisma, nie podobają mu się artykuły pedagogiczne, a w końcowych wnioskach postuluje: „więcej artykułów z dziedziny pedagogiki, psychologii”. Trudno się w tym połąpać.

R. G. — Kraków. Wasze „mlby” tylko jedno pytanie wymaga w odpowiedzi specjalnego artykułu na ten temat. Nie widzimy jednak potrzeby zamieszczania takiego referatu, gdyż w „Kalendarzu Nauczycielskim” na rok 1982/83, na str. 147-150, znajdziecie wyjaśnienie w rozdziale: „Wynagrodzenie zasadnicze pracowników administracyjno-gospodarczych i obsługi zatrudnionych w szkołach resortu oświaty”. A „Kalendarz Nauczycielski” chyba Wasze ognisko posiada?

Z. W. — Poznań. Potrzebny do referatu materiał znajdziecie w książce prof. B. Suchodolskiego: „O program świeckiego wychowania moralnego”.

uczestnicy strajku pracujący dotychczas w powiecie łukowskim. Przyjechali nauczyciele z Siedlec, Lublina, Gdańska, Zielonki Góry, Wrocławia; przysłali życzenia ci, którzy z różnych powodów nie mogli przybyć na spotkanie: z Poznania, Wąbrzycha, Lesznej itp.

Sale, pokój nauczycielski, mieszkanie kierownika, korytarze szkoły w Wojciesz-

kie grupy. Ze wszystkich stron dotykały urywki zdań: „Pamiętasz?..”, „wznowo mnie na posterunek policji...”, „inspektor telefonuje: jeśli przerwie pan pracę...”, „żona — w plac: Co ty robisz, wariacie, z czego będziemy żyć, jak cię zwolnią z pracy? Ale przyjechałem...”. „Z naszego ogniska? Wszyscy bracie, tylko ten X...”, „inspektor zapiął nas pod Łukowem...”. „Ja do pana na wizytę...”. „A na to Józek...”. „U nas nie ma dziś kłopot, panie inspektorze...”. „Ja chce skontrolować kancelarię szkolną, musi pan ze mną walczyć...”. „Nie mogę, dałem słowo...”. „I pojechałmy dalej...”. „A na drugi dzień...”. „To były czasy, co?”

Październik — to miesiąc spotkań uczestników strajków z 1937 roku. Dużo takich spotkań, organizowanych przez oddziały powiatowe, a nawet ogniska, odbywa się w okręgu łubelskim.

W drugiej połowie października roznieli strajku w powiecie łukowskim obchodzono w Wojcieszkwie.

Wybierając te miejscowości — Komitet Obchodu (przedstawiciele KP PZPR, Prezydium PRN, władz szkolnych, Zarządu Oddziału Powiatowego ZNP, Prezydium GRN) wzięli pod uwagę szereg okoliczności. W Wojcieszkwie skupiało się w okresie strajkowym życie związkowe ogniska Adamów, którego członkowie prawie w 100% wzięli udział w strajku; obecnym prezesem ogniska Adamów jest kierownik szkoły w Wojcieszkwie, pracujący w tej miejscowości ponad 40 lat, Władysław Próchniewicz, znany w okresie międzywojennym i obecnie jako zasłużony działacz związkowy; ponadto decydował i ten wzgląd, że ognisko w Adamowie jest jednym z najżywniejszych w powiecie.

Starsi działacze potrafili wytworzyć właściwą atmosferę pracy związkowej, wciągnęli do niej młodzież nauczycielską, przekreśliли imaginowane granice dzielące członków ZNP na „my” i „wy”. W spotkaniu wzięli udział nie tylko

Październikowe spotkanie

Nr 43 strona 2

Poemat dla niedorostłych

(Na marginesie sesji Stołecznej Rady Narodowej)

KRAJOBRAZ imponujący: wśród łagodnej i melancholijnej równiny wyrasta nagle ogromny zespół kominów, niekiedy w niedopasowany, jakby skądinąd przeniesiony. W dzień — miasto utrwala się w pamięci perspektywą Placu Centralnego i przyległych ulic; w nocy — strąsy szerokości nowoczesnych arterii, oddaleniem przeciwnych bloków. Nie słychać z takiej odległości krzyku ani bręku wybijanych szyb. Nowa Huta (z zachowaniem właściwych proporcji) — jakaś taka polska Brasilia.

Mieszkańca i mieszkańcy. Komfort i superkomfort. Charakter wnętrza często jak u Tuwima: „w strasznych mieszkaniach, straszni mieszkańcy”. Uroczysty, wystawowy polsk, koronkowe serwetki, zawsze radio, często telewizor i lodówka (z zachowaniem właściwych proporcji) — mierzniaki zarobków, postępu, ambicji życiowych.

Mieszkańcy — to „stop” z surówki chłopięco-robotniczo-inteligenckiej, obiekt do badań i obserwacji dla socjologów. Rodziny w wieku średnim i młodym. W rodzinach, oczywiście — dzieci. Dzieci, na zajęcie się którymi rodzicom brak czasu, bo często oboje pracują.

Nieco statystyki. Na około 107 tysięcy mieszkańców Nowej Huty, w roku 1961/62 — było 15 311 uczniów szkół podstawowych, zgłoszonych na jedną izbę lekcyjną wynosiło 75—88, a w bieżącym roku już wszystkie szkoły mają pracować na trzy zmiany. (Dzielnica Rada Narodowa na sesji czerwcowej powzięła uchwałę o konieczności przyspieszenia budowy nowych szkół). Na owoch 15 tysięcy dzieci, przeszło 2 tysiące (czyli co siódme dziecko) potrzebuje pomocy z zewnątrz. Jakiej i dlaczego? Na to odpowiadają:

1. Bardzo krótkometrażowy film z życia tych dzieci, zestawiony na podstawie relacji z lokalnej prasy (skrócone cytaty).
2. W rodzinie K. 14-letni syn cały miesiąc był nieobecny w szkole, o czym rodzice zupełnie nie wiedzieli!

3. W rodzinie B. (z dzieci) matka wie, wprawdzie, że syn (z III klasy) „chodzi z kolegami” w czasie wolnym od zajęć szkolnych, ale nie wie, gdzie z jakimi!
4. W rodzinie X., posiadającej 6 dzieci, drugi z nich chłopiec znalazł się w zakładzie

wychowawczym ku zadowoleniu rodziców („Jedną gęba mienią do żywienia”).
5. „Matka — prostytutka, pozabawiona władzy rodzicielskiej. W jej mieszkaniu jedna z córek zgwałcona przez klienta matki. Dwie młodsze czekają na swoją kolej”.
6. „Na podstawie wyroku sądowego odesłano do domu poprawczego 14-letniego chłopca, przywódcę bandy dziewczęcej. Dziewczęta kradły dla niego i przyprowadzały mu swoje najładniejsze koteńki. Zabawy z wódką odbywały się na podmiejskich łakach”.
7. „W jednym tylko kwartale MO zlikwidowała w Nowej Hucie dwie szajki nieletnich, które popełniły łącznie 60 przestępstw. Wycinanie i wybijanie szyb, kradzieże w kioskach, sklepach, przedszkolu”.
8. Epilog filmu wbrew pozorom nie powinien jednak być pesymistyczny. Bo:

1. Fakty takie i podobne trafiają się w każdym dużym skupisku miejskim i nie uprawniają do uogólnień;
2. Szeręg osób i instytucji społecznych stara się już przeczyć przeciwdziałać. Na czele trzeba tu postawić Poradnię Społeczno-Wychowawczą TPD w Nowej Hucie i Wydział Oświaty DRN. Mają one w ewidencji dzieci potrzebujące pomocy i kierują je do odpowiednich zakładów. W stałym kontakcie z Poradnią jest milicja. Powstały również w Nowej Hucie terenyowe grupy partyjne o działalności opiekuńczej bardzo zróżnicowanej a dostosowanej każdorazowo do potrzeb osiedla, w którym mieszkają uczestnicy grup;
3. Robi się wiele dla organizacji wolnego czasu dzieci; Dom Kultury Huty im. Lenina posiada od roku 1956 teatralne ognisko dziecięce dla 4—14 lat;
4. Biblioteki i wypożyczalnie książek posiadają duży procent dziecięcych czytelników (ogółem co szósty mieszkaniec Nowej Huty jest abonentem bibliotecznym).

Z tym wszystkim nie wolno zamykać oczu na braki. Nowa Huta nie ma własnego Pogotowia Opiekuńczego, a konieczność jego potrzebuje, bo Poradnia Społeczno-Wychowawcza TPD zaledwie nieznacznie częściej dzieci może objąć swoją opieką. Jest już

wyznaczone miejsce i budynek na nowohuckie pogotowie (zabytkowy dworek w Branicach), istnieje pierwsza dotychczas strona Wojewódzkiego Komitetu Przeciwalikoholowego, w kwocie 200 tysięcy, ale trzeba jeszcze dużo pieniędzy na remont, adaptację i etaty dla personelu. Wobec braku Pogotowia bardzo wiele dzieci zakwalifikowanych do umieszczenia poza domem rodzinnym musi nadal w nim przebywać.

Nowa Huta nie ma rozbudowanej sieci uniwersytetów dla rodziców. A przecież bardzo wiele dzieci pochodzących z rodzin „normalnych” wykoleiło się w wyniku popełnienia w stosunku do nich błędów wychowawczych.

Pro domo sua. Z niebezpieczeństw grozących jej wychowującym dzieciom najmniej zdają sobie sprawę ich rodzice, a co smutniejsze, w bardzo niewielkim stopniu, ich nauczyciele. Wielu spośród nich widzi dziecko tylko w klasie. Widzi, czy jest przygotowane do lekcji, czy nie; widzi, czy jest ono krapkowane, czy też zachowaniem się swoim nie zarabia na ujemną opinię. Terenem nieznanym i niedocieranym pozostaje życie pozaskolowe i pozaskolowe wychowanków, w jakich spędzają dni i noce, powody i okoliczności, na skutek których nie odrabiają lekcji, zapadają na ciężkie nerwy, nieoczekiwanie stają się małymi przestępcami. Rzecz szczególna, że w Nowej Hucie sprawami dziećmi bardziej niż szkoła zajmuje się Milicja Obywatelska. Czyżby przesunięcie kompetencji?

I znowu powrót do problemu „szkoła — dom”, i znowu obowiązek wszechstronnego poznania uczniów i wychowanków, i znowu teren działalności społecznej nauczyciela w najszerszym słowa znaczeniu i sprawa jego odpowiedzialności za wychowanie człowieka. I to wszędzie — nie tylko w Nowej Hucie.

Nowa Huta — przed kilku laty obiekt i adresata „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka — staje się symbolem nowych czasów, których odmiennosc cywilizacyjną na tym większe stawia wymagania tworząc kształtującym model nowego człowieka.

MARIA MACHALSKA

SPRAWY szkolnictwa zawodowego są trudne i skomplikowane. Nie jest rzeczą łatwą opracowywanie sieci tych szkół, właściwych planów rozwoju, metod szkolenia, zabezpieczenie wyposażenia gabinetów i pracowni, budynków, kadry nauczycielskiej.

Rozwiązaniem tych problemów zajęło się w ostatnich miesiącach — przy pomocy prawie wszystkich innych komisji — Prezydium Stołecznej Rady Narodowej.

Wyniki tych prac wraz z projektem uchwały przedstawione zostały na sesji rady w dniu 18 października br. Wzwał w niej udział m. in. wiceminister oświaty Michał Godewski.

Nie często się zdarza, żeby wystąpienia dyskusantów były tak rzetelne i przemyślane — jak to miało miejsce na omawianej sesji. Wynikało to stąd, że w okresie poprzedzającym sesję radni zwiedzili szkoły zawodowe i zapoznali się z licznymi problemami związanymi z ich pracą, przeprowadzili szereg narad i dyskusji z nauczycielami oraz kierownikami i pracownikami kuratorium.

Nie chcemy streszczać tej dyskusji, wysuwanych wniosków, treści podjętej uchwały stwarzającej warunki dalszego rozwoju szkolnictwa na terenie m. st. Warszawy; o sprawach tych pisała codziennie prasa warszawska. Uważamy jednak za słuszną i celową, aby przedstawić naszym czytelnikom pewne sprawy i problemy istotne dla dalszego rozwoju szkolnictwa zawodowego w całej Polsce — które znalazły swój wyraz na warszawskiej sesji.

Szkolnictwo zawodowe po wyzwoleniu rozwijało się bardzo intensywnie, ale jednocześnie i żywiłowo. O uruchomieniu nowych szkół i kierunków decydowały często doraźne potrzeby życia gospodarczego.

Dzisiaj istnieje już konieczność ustalenia prawidłowej sieci szkół oraz opracowania długofalowego planu szkolenia w różnych specjalnościach, zgodnie z potrzebami gospodarki krajowej.

Same władze oświatowe nie są jednak w stanie takiego planu opracować. Niezbędne dane muszą być dostarczone przez komisje planowania.

Materialy, o oparciu o które ustalano sieć szkół zawodowych oraz plany szkolenia — nie mogą ograniczać się wyłącznie do potrzeb danego województwa, istnieje przecież ścisła łączność, współzależność między poszczególnymi częściami naszego kraju. Nie może każde województwo opracowywać planu rozwoju szkolnictwa zawodowego tylko dla siebie. Dlatego jest zatem do stworzenia Komisji Oświaty oraz Komisji Planowania przy Urzędzie Rady Ministrów koordynowanie pracy w tym zakresie. Nie potrzeba, poza tym uzasadniać, że dane, o których mówimy, muszą być wynikiem gruntownych badań i wyliczeń. Uczniowie, którzy wstępują do I klasy, wyjdą ze szkoły z dyplomami dopiero po 3—5 latach. Nie dotąd, nie później, że tylko w ten okres trzeba zaplanować zapotrzebowanie na absolwentów szkół zawodowych. Uruchomić szkołę, wyposażyć ją w bardzo drogi sprzęt, zatrudnić nauczycieli, rozpocząć naukę na okres 3—5 lat, byłoby, delikatnie mówiąc, bardzo nierozsądne. Doświadczenie jednak wykazuje, że istnieją duże trudności ze ściśnięciem długoterminowego planowania potrzeb kadrowych. Potrzeby te nie są dość szybko się zmieniające, uciążliwe są bowiem od wielu czynników.

W związku z tym jednym chyba zabezpieczeniem przed takimi sytuacjami jest poszerzenie profilu szkolenia zawodowego, uwzględnianie w programach elementów umożliwiających w razie potrzeby, „przekwalifikowanie” absolwentów na nową specjalność.

W ostatnich latach, szczególnie po VII Plenum KC PZPR, obserwujemy niesłychanie dynamiczny rozwój szkolnictwa zawodowego. W samej Warszawie liczbą uczniów w tych szkołach powiększa się rocznie o około 10 tysięcy. Jednakże w ślad za tą, rosnącą gwałtownie liczbą uczniów, nie nadążają nowe inwestycje. Opracowane plany przewidują oddawanie nowych budynków dopiero w drugiej połowie obecnego planu 5-letniego. Dotychczasowe doświadczenia wykazują, że można mieć poważne obawy, czy plany te zostaną zrealizowane.

W Warszawie np. na zaplanowane do oddania na dzień 1 września br., do użytku 3 pierwsze budynki szkół zawodowych nie przekazano jeszcze żadnego. Tymczasem zaś obecnego budynku szkół zawodowych, w którym odnamiar uczniowie. Gdzie pomieścić w następnym roku jeszcze większą, niż w bieżącym roku liczbę absolwentów klas VII? Nie potrzeba chyba przekonywać, że w tej sytuacji nie wolno dopuścić do żadnych „poślizgów” w budownictwie szkół zawodowych, do przesuwania, z kwartału na kwartał i na rok, terminów oddawania do użytku nowych budynków.

Walczą o terminową realizację planu inwestycyjnego władze oświatowe — nie zawsze jak dotychczas skutecznie. Trzeba zatem im w tej walce pomóc.

Słusznie w uchwale sesji stołecznej rady jest mowa, że w krytycznych dla szkolnictwa zawodowego latach trzeba wykorzystywać na jego rzecz wszystkie rezerwy, jakie posiadamy w budynkach szkół innych typów. Czy takie rezerwy istnieją? Może w sporadycznych przypadkach tak. Na ogół jednak mamy ogromne przeludnienie w szkołach pod-

stawowych, a ostatnio również coraz większe i w liceach ogólnokształcących. Są jednak pomieszczenia, które mogłyby być szybko zwolnione i oddane na potrzeby szkolnictwa. Są to lokale zajmowane w budynkach szkolnych przez osoby, a często i instytucje, niezwiązane ze szkołą. W samej Warszawie naliczono 240 takich pomieszczeń. Wykwaterowanie z nich lokatorów powinno chyba być dokonane w tej samej kolejności, co i wyprzedzenie z suteren i poddaszy. Należy jednak zdać sobie z tego sprawę, że samymi wysiłkami władz oświatowych i rad narodowych nie rozwiążemy problemu szkolnictwa zawodowego. Potrzebna tu jest wydatniejsza, niż dotychczas pomoc zakładów pracy.

Zakłady te muszą wchłonąć większy procent młodocianych na naukę zawodu, organizować własne szkoły przyzakładowe. Na temat szkół przyzakładowych wiele już mówiono i pisano. Dużo zagadnień i spraw związanych z ich funkcjonowaniem wymaga uregulowania — jedno jest jasne: szkoły te muszą zająć poważne miejsce w naszym systemie szkolnictwa zawodowego. Zakłady pracy muszą zająć się organizacją i prowadzeniem tych szkół i dlatego, że mają obowiązek — przejąć na siebie częściowo zadania państwa w szkoleniu pracowników, jak i przede wszystkim dlatego, że w bardzo wielu specjalnościach szkoły przyzakładowe stanowią najlepszą, a nieraz i jedyną, formę przygotowania kadr pracowniczych.

Pomoc zakładów pracy szkołom zawodowym musimy wyrażać się w daleko większym niż dotychczas zapotrzebowaniu w niezbędnym sprzęcie, maszynach, urządzeniach i pomocy naukowej. Jak wielkie w tym zakresie istnieją możliwości i jakie jednocześnie w poszczególnych rejonach występują rozpiętości — świadczą następujące przykłady: zakłady pracy z terenu m. Warszawy dostarczyły w ciągu 3 ostatnich lat szkołom zawodowym maszyn i urządzeń na sumę 2,8 miliona zło-

tych. Na terenie województwa lubelskiego w tym samym okresie przemyśle dostarczył szkołom maszyn, sprzętu, urządzeń i pomocy naukowych na sumę 30 milionów złotych.

Jednakże nie chodzi tylko o pomoc materialną ze strony zakładów pracy. Uczniowie wszystkich szkół zawodowych odbywają praktyki w tych zakładach. Odgrywają więc one bardzo poważną rolę w wychowywaniu przyszłych pracowników.

Mówił o tym na sesji przewodniczący Prezydium St. RN, Janusz Zarzycki. Warto jego słowa z całym naciskiem tu podkreślić. Często stosunki panujące w nich, przykłady, z którymi spotyka się młodzież, wręcz demoralizują ją, psują całą dotychczasową pracę prowadzoną przez szkoły. Każdy zakład pracy musi zatem w poważnym stopniu stać się jednocześnie zakładem wychowawczym.

Mówiąc o głównych warunkach rozwoju szkolnictwa nie można pominąć i sprawy kadr nauczycielskich i instruktorskich. Najpoważniejszym problemem w tej dziedzinie, jest sprawa szkolenia pedagogicznego kadr nauczycieli przedmiotów zawodowych i zawodu. W Warszawie spośród nauczycieli etatowych tylko połowa posiada przeszkolenie pedagogiczne. Nauczyciele dochodzący, a jest ich mniej więcej tyłu, co i nauczycieli etatowych, z reguły nie posiadają żadnego wykształcenia pedagogicznego. Wynika z tego, że tylko około 25% nauczycieli przedmiotów zawodowych i zawodu posiada przygotowanie pedagogiczne. Tak jest w Warszawie, w stołecznej — trudno przypuszczać, żeby w pozostałych województwach było pod tym względem lepiej.

Pilny również problem — to dokształcanie ogólne i zawodowe tych nauczycieli. Poważny procent spośród nich posiada tylko wykształcenie średnie, część zaś nawet i niższe.

Istnieje zatem konieczność uruchomienia SN typu zawodowego wraz ze studiami zaocznymi i wieczorowymi oraz rozwinięcie szerokiego ruchu samokształceniowego wśród ogółu nauczycieli szkół zawodowych — tak jak to już się dzieje wśród nauczycieli szkół ogólnokształcących.

KAZIMIERZ WOJCIECHOWSKI

Klub filmowy w technikum

JEDEN z najlepszych znawców filmu, Aleksander Jackiewicz, jest zdania, że czytania filmów należy się uczyć tak, jak czytania książek. Gdzie? W kinie, w pismach, w pracach o nowej sztuce, a w przyszłości — po prostu w szkołach.

Nikt chyba nie neguje już dzisiaj, że film odgrywa poważną rolę w procesie wychowania, kształcenia ogólnej wrażliwości estetycznej młodzieży, jej charakteru i poglądów. Nikt też nie przeczy, że film — jak żadna inna sztuka — uczy swymi odnośnikami rozumienia nie tylko innych ludzi, ale innych kultur.

Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych powstała w roku 1956. A w roku 1960 Ministerstwo Oświaty wyraziło zgodę na rozpoczęcie pracy wśród młodzieży szkolnej. Sekcja Młodzieżowa Federacji powstała dopiero pod koniec 1960 roku.

Dyskusyjny Klub Filmowy przy Technikum Chemicznym nr 1 w Lublinie powołany został do życia we wrześniu 1961 r. z inicjatywą kierownika zajęć pozalekcyjnych — mgr Janowskiego i przy współdziałaniu krytyka filmowego — red. Penculy. Klub został zarejestrowany Kuratorium Oświaty Szkolnego w Federacji. Federacja nadała Klubowi program, który obowiązuje w zarzysie. Nie jest to jednak program sztywny, który by w sensie szkolnym należało koniecznie „przerobić”. Technikum Chemiczne nr 1, z inicjatywą kierownika Lublina, mającego swój Dyskusyjny Klub Filmowy, zarejestrowany w Polskiej Federacji.

Do klubu przylgnęły się uczniowie wykazujący dobre predyspozycje w nauce. Liczy on 100 członków z klas młodzieży i starszych. Sprawami organizacyjnymi zajmuje się wyłoniony przez młodzież zarząd, składający się z 4 osób. Nad stanem finansowym klubu kontroluje komisja, a o zarządzie i projekcyjnej dła komisja porządkowa. Pro-

gocześnie, a jak wiele o składkach, zbórkach makulatury, „marmurkowym” papierze do oprawiania zeszytów, długopisach, rozbitnej doniczce itp.

W jednym z artykułów Z. Arct pisał o konieczności włączenia rodziców do pracy szkoły, zaznajomienia ich z planami wychowawczymi, z dopinaniem ich do współdziałania w podejmowanych przez szkołę akcjach. Sojusznikiem w tej pracy może być — jak pokreślali nasi dyskusanci — komitet rodzicielski. Może być, ale czy zawsze jest? Prawidłowe ustalenie działalności komitetu wymaga inspiracji szkoły, dużego nakładu wysiłków kierownictwa i rady pedagogicznej, a przede wszystkim w pierwszym okresie zwłaszcza — poświęcenia komitetowi czasu, którego nam zawsze brakuje. Dlatego w wielu szkołach komitet rodzicielski zszedł do roli jakiejś podrzędnej komisji gospodarczo-administracyjnej ograniczając się do zbierania składek, pomocy przy organizowaniu imprez i uroczystości czy wycieczek. A szkoda, powierzenie komitetowi odpowiedzialnego odinka pracy wychowawczej — chociażby opieki nad dziećmi w godzinach pozalekcyjnych czy „pedagogizacji rodziców” — może nie tylko odciążyć szkołę, ale w wielu przypadkach ułatwić jej dotarcie do najbardziej „opornych” ojców czy matek. Czas i wysiłek użytkowany w początkowym okresie opłaci się stokrotnie.

Współpracę szkoły z domem trzeba jednak zacząć od spraw najprostszych — od wywiadówek, rozmów indywidualnych, dzienników itp. A przede wszystkim od uczniów. Rodzice poznają nas bowiem głównie w reakcji dzieci i, zanim po raz pierwszy przyjdą do szkoły, mają już do niej jakiś określony stosunek. Dlatego nie gdzie indziej, lecz właśnie w klasie rozgrzewać się powinna „batallia” o pozyskanie rodziców. Niewielu bowiem w końcu jest takich, którzy pozostaną obojętni wobec szkoły i nauczyciela otaczających ich dziecko serdecznie, mądrą troskliwością (co nie jest równoznaczne, oczywiście, z czułością i pobłażliwością). Ci zaś „obojętni” — to właśnie owi trudni rodzice wymagający naszej specjalnej uwagi, odwołujący w domu i całego arsenału środków pedagogicznych.

Ale trudni rodzice i trudne dzieci — to temat odrębnej, zapoczątkowanej już zresztą przez „Głos”, dyskusji.

KRYSTYNA ROGALSKA

Zacząć trzeba od spraw najprostszych

(Dokończenie ze str. 1)

czterdziestu nazwisk, z którym nie łączy się niejednokrotnie żadne, konkretne wyobrażenie jakiegokolwiek osobowości.

Jestemy przepracowani, uczymy w warunkach niezmiernie ciężkich, w przedłużonych klasach, na dwie — trzy zmiany. Na pewno nie ułatwia to nam pracy wychowawczej. Dlatego nie stawiamy sobie wygórowanych, nierealnych celów, ale robimy to, co jest możliwe do urzeczywistnienia w istniejących warunkach. Tymczasem, jak to się często zdarza, nie wykorzystujemy środków najprostszych. Weźmy dla przykładu choćby sprawę dzienników uczniowskich i wywiadówek, tych najczęściej i przez wszystkie szkoły stosowanych form kontaktów z rodzicami.

Czym — w wielu szkołach — stał się ów dzienniczek? Księga uciechy, postachenie dziecka i rodziców. Zanika w nim bowiem korespondencja świadcząca o troskliwości nauczyciela, życzliwej „przymyślenia”, że z dzieckiem należy pójść do okulisty, bo w szkole zauważono, iż ma słaby wzrok; zwrócić uwagę na zbyt wysiadły, nadmierny pobudliwość ucznia itp.

Te pozornie drobne, być może nawet nieco, nieliczne momenty, istniejące pod postacią notki nauczyciela, w gruncie rzeczy w warzyły jakiś serdeczny klimat wspólnej troski o dziecko, o jego większe i mniejsze potrzeby.

W zamian za to pojawiały się w dzienniczek suche adnotacje dotyczące tylko i wyłącznie złego zachowania ucznia lub konieczności wpienia kolejnej skłładki. Co gorsza, nadmiar tych uwag o zachowaniu, a jednocześnie ich ostrość w stosunku do popełnionego „przestępstwa” powodują u rodziców początkowo zdenerwowanie i złość na dziecko, potem lekceważenie, a wreszcie zniechęcenie i żal do nauczyciela. Dzienniczki stały się strachem nie tylko ze względu na ich treść, ale i (jak np. w tym roku) z uwagi na to, że ich w ogóle brak. Stawiamy, o teny niedostatecznie, odsyłamy „bezdzienniczkowe” dzieci do domu, jak gdyby te kilkadziesiąt poliniowanych w specjalny sposób kartek stanowiło kwestię życia i śmierci, jak gdyby nie można było korespondencji napisać w pierwszym lepszym, do tego celu przeznaczonym, zeszytu. Równie ujemnie oceniamy rodzice nasz „wyciszyć z czasem”, zalew klasówek i „odpytywać” przed każdym okresem, chaotyczność i powierzchowność w ocenach.

Wydał mi się, iż gubienie się w drobiazłach, spowodowane z pewnością przepracowaniem i nadmiarem obowiązków, stało się i u „chorobliwych” nasytających się chłobą decyza i myślnych i nie ułatwiająca nam w żadnym razie nawiązania kontaktu z rodzicami. Ta drobiazgowość rzutuje w jakiś sposób i na klimat panujący w czasie wywiadówek. Jakże mało tam się mówi o istotnych problemach peda-

gogicznych, a jak wiele o składkach, zbórkach makulatury, „marmurkowym” papierze do oprawiania zeszytów, długopisach, rozbitnej doniczce itp.

W jednym z artykułów Z. Arct pisał o konieczności włączenia rodziców do pracy szkoły, zaznajomienia ich z planami wychowawczymi, z dopinaniem ich do współdziałania w podejmowanych przez szkołę akcjach. Sojusznikiem w tej pracy może być — jak pokreślali nasi dyskusanci — komitet rodzicielski. Może być, ale czy zawsze jest? Prawidłowe ustalenie działalności komitetu wymaga inspiracji szkoły, dużego nakładu wysiłków kierownictwa i rady pedagogicznej, a przede wszystkim w pierwszym okresie zwłaszcza — poświęcenia komitetowi czasu, którego nam zawsze brakuje. Dlatego w wielu szkołach komitet rodzicielski zszedł do roli jakiejś podrzędnej komisji gospodarczo-administracyjnej ograniczając się do zbierania składek, pomocy przy organizowaniu imprez i uroczystości czy wycieczek. A szkoda, powierzenie komitetowi odpowiedzialnego odinka pracy wychowawczej — chociażby opieki nad dziećmi w godzinach pozalekcyjnych czy „pedagogizacji rodziców” — może nie tylko odciążyć szkołę, ale w wielu przypadkach ułatwić jej dotarcie do najbardziej „opornych” ojców czy matek. Czas i wysiłek użytkowany w początkowym okresie opłaci się stokrotnie.

Współpracę szkoły z domem trzeba jednak zacząć od spraw najprostszych — od wywiadówek, rozmów indywidualnych, dzienników itp. A przede wszystkim od uczniów. Rodzice poznają nas bowiem głównie w reakcji dzieci i, zanim po raz pierwszy przyjdą do szkoły, mają już do niej jakiś określony stosunek. Dlatego nie gdzie indziej, lecz właśnie w klasie rozgrzewać się powinna „batallia” o pozyskanie rodziców. Niewielu bowiem w końcu jest takich, którzy pozostaną obojętni wobec szkoły i nauczyciela otaczających ich dziecko serdecznie, mądrą troskliwością (co nie jest równoznaczne, oczywiście, z czułością i pobłażliwością). Ci zaś „obojętni” — to właśnie owi trudni rodzice wymagający naszej specjalnej uwagi, odwołujący w domu i całego arsenału środków pedagogicznych.

Ale trudni rodzice i trudne dzieci — to temat odrębnej, zapoczątkowanej już zresztą przez „Głos”, dyskusji.

KRYSTYNA ROGALSKA

z pomocą organizacji społecznej

Jako w próżni, nie podlegają nikomu, nikt też się nimi nie interesuje. Ilość młodzieży umykającej opiece i kontroli (przeróżnej), przenoszonej ze szkoły do szkoły, skierowanej do zakładu wychowawczego, wagarującej) szacuje się w Warszawie na około 2 tysiące.

Osobny problem stanowią te dzieci, które z różnych przyczyn nie znajdują właściwej opieki w domu rodzinnym. W Warszawie — sytuację rozwiązałoby zorganizowanie dla nich kilku internatów tygodniowych

Kuratorium jest mocno zainteresowane sprawą ożywienia opiekuńczo-wychowawczej pracy szkół i w miarę swoich możliwości udziela im pomocy. W tym roku szczególny nacisk położono na rozwinięcie pracy komitetów opiekuńczych.

D.B.

W Warszawie np. na zaplanowane do oddania na dzień 1 września br., do użytku 3 pierwsze budynki szkół zawodowych nie przekazano jeszcze żadnego. Tymczasem zaś obecnego budynku szkół zawodowych, w którym odnamiar uczniowie. Gdzie pomieścić w następnym roku jeszcze większą, niż w bieżącym roku liczbę absolwentów klas VII? Nie potrzeba chyba przekonywać, że w tej sytuacji nie wolno dopuścić do żadnych „poślizgów” w budownictwie szkół zawodowych, do przesuwania, z kwartału na kwartał i na rok, terminów oddawania do użytku nowych budynków.

Walczą o terminową realizację planu inwestycyjnego władze oświatowe — nie zawsze jak dotychczas skutecznie. Trzeba zatem im w tej walce pomóc.

Słusznie w uchwale sesji stołecznej rady jest mowa, że w krytycznych dla szkolnictwa zawodowego latach trzeba wykorzystywać na jego rzecz wszystkie rezerwy, jakie posiadamy w budynkach szkół innych typów. Czy takie rezerwy istnieją? Może w sporadycznych przypadkach tak. Na ogół jednak mamy ogromne przeludnienie w szkołach pod-

stawowych, a ostatnio również coraz większe i w liceach ogólnokształcących. Są jednak pomieszczenia, które mogłyby być szybko zwolnione i oddane na potrzeby szkolnictwa. Są to lokale zajmowane w budynkach szkolnych przez osoby, a często i instytucje, niezwiązane ze szkołą. W samej Warszawie naliczono 240 takich pomieszczeń. Wykwaterowanie z nich lokatorów powinno chyba być dokonane w tej samej kolejności, co i wyprzedzenie z suteren i poddaszy. Należy jednak zdać sobie z tego sprawę, że samymi wysiłkami władz oświatowych i rad narodowych nie rozwiążemy problemu szkolnictwa zawodowego. Potrzebna tu jest wydatniejsza, niż dotychczas pomoc zakładów pracy.

Zakłady te muszą wchłonąć większy procent młodocianych na naukę zawodu, organizować własne szkoły przyzakładowe. Na temat szkół przyzakładowych wiele już mówiono i pisano. Dużo zagadnień i spraw związanych z ich funkcjonowaniem wymaga uregulowania — jedno jest jasne: szkoły te muszą zająć poważne miejsce w naszym systemie szkolnictwa zawodowego. Zakłady pracy muszą zająć się organizacją i prowadzeniem tych szkół i dlatego, że mają obowiązek — przejąć na siebie częściowo zadania państwa w szkoleniu pracowników, jak i przede wszystkim dlatego, że w bardzo wielu specjalnościach szkoły przyzakładowe stanowią najlepszą, a nieraz i jedyną, formę przygotowania kadr pracowniczych.

Pomoc zakładów pracy szkołom zawodowym musimy wyrażać się w daleko większym niż dotychczas zapotrzebowaniu w niezbędnym sprzęcie, maszynach, urządzeniach i pomocy naukowej. Jak wielkie w tym zakresie istnieją możliwości i jakie jednocześnie w poszczególnych rejonach występują rozpiętości — świadczą następujące przykłady: zakłady pracy z terenu m. Warszawy dostarczyły w ciągu 3 ostatnich lat szkołom zawodowym maszyn i urządzeń na sumę 2,8 miliona zło-

Pomoc powinny organizacje społeczne

Z rozmowy z przedstawicielami Kuratorium Warszawskiego: wizerunku zakładów wychowawczych dla młodzieży społecznie niedostosowanej — Janinę Kowalczykówną oraz wizerunek okręgowym szkół — Halinę Zylbertową.

ANALIZA poziomu pracy opiekuńczo-wychowawczej szkół warszawskich pozwala stwierdzić, że mimo niewątpliwych osiągnięć sytuacja nie przedstawia się najlepiej.

Problem numer jeden — to brak jednolitego oddziaływania wychowawczego, oparte na planowej współpracy między szkołą i domem. Daje się jeszcze zauważyć dorywczość i przypadkowość zabiegów wychowawczych oraz niezdrówna tendencja do wzajemnego przetrucania na siebie odpowiedzialności za nie zawzięte pozytywne wyniki, podczas gdy powszechnie wiadomo, że tylko ściśle współdziałanie domu ze szkołą może doprowadzić do wypracowania skutecznych metod.

Jeśli chodzi o samą szkołę, to na ogół nie stwarza ona korzystnych warunków dla społecznej aktywizacji dziecka. Zadania stawiane przed młodzieżą często nie budzą jej zainteresowania, nie angażują do działania, nie wiążą z życiem. Taką np. czysto formalną, bez emocjonalnych akcentów, bywa praca samorządu uczniowskiego.

Niekiedy nauczyciel popełnia błędy w trakcie swej pracy wychowawczej i dydaktycznej. Nie wszyscy jeszcze np. rozumieją potrzebę stosowania indywidualnych dla każdego dziecka metod wychowawczych, opartych na dokładnej znajomości wad i zalet jego charakteru, warunków materialnych, stosunków rodzinnych i środowiskowych. Wskutek przedawania klas — za mało uwagi poświęca się uczniom słabszym, mniej zdolnym czy tylko nieśmiałym, mało aktywnym. Tymczasem pozycja ucznia w klasie bardzo często decyduje o jego przyszłym powodzeniu. Dziecko, które nie odgrywa w klasie żadnej roli, popada w kompleksy, przestaje być aktywnym i traci ochotę do nauki. Jest to problem niezmiernie ważny, ponieważ, jak wykazały badania, trudności wychowawcze zaczynają się najczęściej wtedy, gdy uczeń powtarza klasę. Wagarowicze i uczniowie drugorzeczni — to przede wszystkim młodzież, którą spotykamy jako „koników” przed kinami, którą znamy z różnych wybróków ulicznych i która nierazko staje przed sądami dla nieletnich czy jest częstym gościem izby zatrzymań MO.

Bardzo niezdrówna i poważna w skutkach jest też tendencja zmierzająca do pozbywania się młodzieży stwarzającej większe trudności wychowawcze, czy to przez przeniesienie do innej szkoły, czy też zbyt pochopne kierowanie sprawy do sądu dla nieletnich. Zdarza się też, że szkoła czuje się zwolniona od zapewnienia opieki tym uczniom, którzy wyrokem sądu dla nieletnich zostali skierowani do zakładów wychowawczych, ale przez pewien, czasem dość długi okres, z różnych przyczyn oczekują na umieszczenie w nim. Dzieci te wiszą nie-

wychowawczym ku zadowoleniu rodziców („Jedną gęba mienią do żywienia”).
5. „Matka — prostytutka, pozabawiona władzy rodzicielskiej. W jej mieszkaniu jedna z córek zgwałcona przez klienta matki. Dwie młodsze czekają na swoją kolej”.
6. „Na podstawie wyroku sądowego odesłano do domu poprawczego 14-letniego chłopca, przywódcę bandy dziewczęcej. Dziewczęta kradły dla niego i przyprowadzały mu swoje najładniejsze koteńki. Zabawy z wódką odbywały się na podmiejskich łakach”.
7. „W jednym tylko kwartale MO zlikwidowała w Nowej Hucie dwie szajki nieletnich, które popełniły łącznie 60 przestępstw. Wycinanie i wybijanie szyb, kradzieże w kioskach, sklepach, przedszkolu”.
8. Epilog filmu wbrew pozorom nie powinien jednak być pesymistyczny. Bo:

1. Fakty takie i podobne trafiają się w każdym dużym skupisku miejskim i nie uprawniają do uogólnień;
2. Szeręg osób i instytucji społecznych stara się już przeczyć przeciwdziałać. Na czele trzeba tu postawić Poradnię Społeczno-Wychowawczą TPD w Nowej Hucie i Wydział Oświaty DRN. Mają one w ewidencji dzieci potrzebujące pomocy i kierują je do odpowiednich zakładów. W stałym kontakcie z Poradnią jest milicja. Powstały również w Nowej Hucie terenyowe grupy partyjne o działalności opiekuńczej bardzo zróżnicowanej a dostosowanej każdorazowo do potrzeb osiedla, w którym mieszkają uczestnicy grup;
3. Robi się wiele dla organizacji wolnego czasu dzieci; Dom Kultury Huty im. Lenina posiada od roku 1956 teatralne ognisko dziecięce dla 4—14 lat;
4. Biblioteki i wypożyczalnie książek posiadają duży procent dziecięcych czytelników (ogółem co szósty mieszkaniec Nowej Huty jest abonentem bibliotecznym).

Z tym wszystkim nie wolno zamykać oczu na braki. Nowa Huta nie ma własnego Pogotowia Opiekuńczego, a konieczność jego potrzebuje, bo Poradnia Społeczno-Wychowawcza TPD zaledwie nieznacznie częściej dzieci może objąć swoją opieką. Jest już

z pomocą organizacji społecznej

Jako w próżni, nie podlegają nikomu, nikt też się nimi nie interesuje. Ilość młodzieży umykającej opiece i kontroli (przeróżnej), przenoszonej ze szkoły do szkoły, skierowanej do zakładu wychowawczego, wagarującej) szacuje się w Warszawie na około 2 tysiące.

Osobny problem stanowią te dzieci, które z różnych przyczyn nie znajdują właściwej opieki w domu rodzinnym. W Warszawie — sytuację rozwiązałoby zorganizowanie dla nich kilku internatów tygodniowych

Pierwszy rok dwudziestolecia

Często używamy na lekcjach zwrotów „wiek atomu”, „próg ery kosmicznej”. Od niedawna możemy z całą odpowiedzialnością, bez obawy o frazes używać również określenia — „początek ery komunizmu” — w odniesieniu do rzeczywistości w Związku Radzieckim. Oczywiście, budownictwo komunizmu nie zaczęło się automatycznie wraz z jakąś datą, np. od chwili uchwalenia Programu Partii na XXII Zjeździe KPZR. Aby jednak mówić o współczesnej nam erze komunizmu, trzeba mieć realne dowody. I oto po raz pierwszy w dziejach naszej planety ogłoszono i rozpoczęto realizację konkretnego programu przechodzenia do komunizmu.

Sądzę, że warto w rocznicę uchwalenia Programu zwrócić uwagę czytelnika pedagoga na ogromne możliwości uzyskania wprost z życia w ZSRR argumentów, przykładów i materiałów o nowocześnieści świata. Nowocześnieść polegać nie tylko na wystrzelaniu rakiet kosmicznych, budowaniu silowni jądrowych lub zaopatrzeniu ludności w lodówki, telewizory, roboty kuchenne itp. Istotą nowoczesności, rzetelnego postępu jest bowiem układ stosunków między ludźmi, atmosfera, w której produkują, kodeks moralności i obyczajowości nowego typu.

Drugim jego zasadniczym walorem jest dynamizm rozwoju, rosnące tempo wzrostu produkcji i poziomu materialnego życia społeczeństwa. Wystarczy porównać ogólnie znane wskaźniki przyrostu produkcji podstawowych artykułów przemysłowych na Zachodzie i Wschodzie. Z porównania tego wynika, że przyszłość należy do nas, żyjących w warunkach, które pozwalają na wyzwolenie się inicjatywy i energii społecznej.

W ciągu trzech kwartałów br. produkcja przemysłowa ZSRR wzrosła o 8,5 proc. Dla przykładu — wytop stali zwiększył się o 8 proc., produkcja energii elektrycznej o 13 proc., a maszyn rolniczych o 23 proc.

Rozwójowi bazy ekonomicznej towarzyszy ogólnonarodowa dyskusja nad nowym stosunkiem do pracy, nad gospodarskim podejściem obywatela do wysiłku, co dzieje się w ZSRR. Stopniowo społeczność radziecka przystosowuje się do przejścia od zasady „każdemu według jego pracy” do — „każdemu według jego potrzeb”.

Chciałbym podkreślić kilka innych aspektów Programu XXII Zjazdu KPZR. Otóż jego praktyczna realizacja stała się możliwa dopiero po usunięciu wszelkich pozostałości systemu kultu jednostki.

Program wytyczony przez jedną z partii komunistycznych świata stał się zarazem materiałem podstawowym dla programów innych partii. Mogą one korzystać z praktycznych doświadczeń budownictwa komunistycznego i studiować uogólnienia teoretyczne na ten temat. XXII Zjazd dał bowiem niezwykle bogaty wkład w teorię marksistowską formułując podstawowe prawidłowości przechodzenia do komunizmu.

Na koniec o sytuacji, jaką wytworzyły uchwały XXII Zjazdu w świecie kapitalistycznym. Ideologię zachodni usiłują zbagatelizować, osiągnięcia ekonomiczne i społeczno-polityczne ZSRR. Z drugiej jednak strony przywódcy i ideolodzy Zachodu organizują 10-letni kontraplan rozwoju produkcji kapitalistycznych krajów europejskich oraz USA. Jak dotychczas nie widać pozytywnych dał Zachodu wyników zamierzonego współzawodnictwa ze Związkiem Radzieckim. Przeliczenie — jak obliczyli nasi ekonomist — można przewidzieć, iż za lat 20 kraje obozu socjalistycznego produkować będą blisko 70 proc tego, co wytwarzać będzie cały świat.

Zarząd Główny ZNP zawiadomił Koleżanki i Kolegów, że w dniach 16, 17 i 18 listopada br. z powodu uroczystości związanych z Dniem Nauczyciela i odbywających się w Warszawie, Hotel ZNP nie będzie mógł przyjąć żadnych zgłoszeń na noclegi, z wyjątkiem uczestników zjazdu.

ZADEN z artykułów zamieszczonych w „Głosie Nauczycielskim” o robotach ręcznych nie trafił mi do przekonania. Ani ten, że jak nie ma kto, nie ma czym, nie ma gdzie i z czego wykonać robotę, to żeby ich nie było wcale.

Jestem polonistką i kierownik przydzielili mnie „roboty” u chłopców w klasie VI. Zebrał nas „robotarzy” pan inspektor, powiedział „jasno, co to są prace techniczne i cała politehnizacja. I żeby nie upadać na duchu. To ważna sprawa. I żeby każdy z nas poczuł się „robotarzem” w ciągu trzech tygodni „we własnym zakresie”.

W szkole kierownik powtórzył mi to samo, spojrzal na mnie z wiarą w oczach. I wzięłam się do pracy. Miałam już kilka lekcji i widzę wyraźnie, że można uczyć robotę bez tych warsztatów, niebezpiecznych narzędzi, drewna, żelaza i czego tam jeszcze.

Otóż na pierwszej lekcji powtórzyłam chłopcom przemówienie pana inspektora i pana kierownika, potem zapytałam uczniów, czy możemy te roboty zająć we własnym zakresie? Chłopcy wzruszyli mnie jednogłośnie odryskaniem: „Możemy”!!!

Jeśli tak — to do dzieła. Pytałam: co byliby, gdyby nie było cieśli, ślusarzy, budowniczych okrętów, mostów, domów, naszych łózek, tapczanów, ławek, tablic itd. itd. i tak nam zeszyły dwie godziny.

Na drugich dwóch omówiłam szczegółowo zaledwie kilka zawodów z lekcji poprzedniej. Do domu zadałam pracę

zespółowi: policzyć, ilu mieszka w naszym obwodzie: stolarzy, ślusarzy, szewców i krawców. Lekcję następną poświęciłam omawianiu tych prac. I znów poleć przygotować pracę w domu: „Do jakich krajów wywozimy nasze wyroby rzemieślnicze?” Kolejne lekcje poświęciłam na pokazywanie i omawianie pojedynczych okazów narzędzi: piły, noża, obcęgi, gwóźdź, młotek, struga, pilnika (narzędzia te wypożyczylam z ośrodka metodycznego). Po narzędziach przyjdzie kolej na omówienie klocków drewna, desek, kawałków blachy, żelaza, szkła itp. Uczniowie zobaczą i policzą słoje na drewnie. Z blachą skojarzą im nasze huty, skarby Polski. Po zapoznaniu się z narzędziami i materiałem, przystąpimy do pogadanki z konkretem (knieźnie).

Z funduszy Komitetu Rodzicielskiego zakupi szkoła zwykły stołeczek. Wezmę go na lekcję, pokażę chłopcom, powiem im: Co to jest? Do czego służy? Z czego zrobiony? Kto go zrobił? Ile ma boków, narożników? Jakiego jest kształtu? Dlaczego niektóre stołki mają otwory w deskach po środku? Co to znaczy „siedzi na dwóch stołkach”? „Podstawia komuś stołek”? Rola stołka w życiu ludzkim itp. Do domu zadam pracę piśmienną: „Moje dzieje (stołka) od wypadnięcia nasionka z szyszki do stołka w klasie VI”.

Sądzę, że wliczonych przykładów wystarczy, aby stwierdzić, że można uczyć prac ręcznych w najgorszych nawet warunkach, łącząc chłopców z dwóch

klas, jak to było na moich lekcjach, kiedy miałam stale bitą czterdziestkę. Nie przesadzajmy więc z tym podziałem na grupy! Przemadnie jest przystawie: „Nie świeć garnki lepia”.

Proszę zwrócić uwagę, że przez cały czas na moich lekcjach stosowałam korelację, czyli nauczanie łączne, były powiązania z geografiami (handel z innymi krajami), z matematyką (liczenie, statystyki), z biologią (budowa klocków drewna), z językiem polskim (wypracowania, przysłowia itp.).

Nie zapomnę jednej lekcji, kiedy to mówiąc o stołku, przedstawiałam młodzieży znaczenie lasu dla Polski, umyślowiłam chłopcom ogrom szkodliwości wycinania drzew, a w związku z tym doniosłość oszczędzania podręczników, opowiedziałam, jak wycinanie drzew w górach powoduje powódzie i że drewno to też żyjący, cierpiący organizm — zobaczyłam lzy w oczach moich młodych entuzjastów przyrody. W tych oczach widziałam też protest, bunt przeciw wszelkim wyrobom z drewna! Na szczęście protest ten zgasiał umiętnie. Wyrwał się tylko twórcy okrzyk wielogłosowy „Niech żyją drzewa!” W podniosłym nastroju zaśpiewaliśmy skomponowaną przeze mnie pieśń, rozpoczynającą się od znanych słów i melodii „Szumiają jodły na gór szczytach” — dalsze słowa były inne, bardziej aktualne, gdyż i w pracach ręcznych uważam za konieczne stosowanie jak najdalej idącej aktualizacji.

D. NIECKA



Pracownia agrobiologiczna SPR w Paplinie (woj. warszawskie)

Fot. Cz. Górski

Muzyka wkracza do szkół

BYŁA już mowa na łamach „Głosu Nauczycielskiego” o Filharmonii: Warszawskiej i Gdańskiej. Myślę, że warto powiedzieć również i o Filharmonii Poznańskiej, o jej działalności nad upowszechnieniem muzyki.

Objawczy po „Artosie” ten dział pracy — już od kilku lat Filharmonia i Opera Poznańska organizują poranki muzyczne, a także muzyczno-poetyckie w szkołach średnich ogólnokształcących i zawodowych na terenie województwa: poznańskiego i zielonogórskiego. W każdym roku szkolnym takie audycje odbywają się raz w miesiącu; program ich jest zawsze bogaty i ciekawy. Do dyrekcji szkół organizatorzy imprez przesyłają arkusze oceny i proszą o wypowiedź, czy audycja była wspaniała, jak nauczyciele i młodzież oceniali jej program i poziom i co należałoby ewentualnie zmienić. Filharmonia liczy się z opinią szkoły i stara się w miarę możliwości zaspokajać gusty słuchaczy.

W bieżącym roku szkolnym wprowadzono wiele innowacji. Zaznajomiono młodzież pokrocie z dziełami, z rozwojem muzyki w ciągu wieków. Tytuł ogólny poranków tegorocznych brzmiał: „Styl w muzyce”, od wieku XVI, od muzyki klasycyzmu poprzez barok, rokoko, romantyzm, impresjonizm aż do muzyki współczesnej. Zapoznano z nazwiskami i twórczością najwybitniejszych kompozytorów europejskich.

Dużo miejsca poświęcono muzyce polskiej od zarania wieków aż po twórczość współczesnych (M. Gomółka, M. K. Ogiński, W. Boguski, J. Elsner, K. Kurpiński, Fr. Chopin, St. Moniuszko, W. Żeleński, J. S. Paderewski, M. Karłowicz, K. Szymanowski, G. Baciewiczówna, S. Kisielewski).

Program był więc interesujący, różnorodny i obejmował wszystkie niemal style muzyki. Najbardziej charakterystyczne dla danej epoki, styli, utwory wykonywali czołowi artyści Filharmonii i Opery Poznańskiej. Czasem okazuje się, że niektóre utwory słuchacze znają z radia lub telewizji. Nic dziwnego, że reagują bardzo żywo (niekiedy zbyt żywo), darzą artystów sympatią, burzliwymi, długotrwałymi oklaskami. Ma też młodzież swoich ulubieńców, ma również ulubione utwory muzyczne.

Ostatnia tegoroczna audycja poświęcona została stylom w tańcu (balet). Warto dodać i to, że na zakończenie całorocznej imprezy zorganizowano pomysłowy „quiz muzyczny”, w którym brała udział młodzież. Wzbudziło to ogromne zainteresowanie w szkole, a konkurs przeżyli nie tylko jego uczestnicy, ale wszyscy obecni na sali, z gromem nauczycielskim włącznie. Zwycięzcom konkursu przyznano pamiątkowe dyplomy oraz nagrody w postaci książek o muzyce. Wszyscy uczestnicy „quizu” otrzymali również bezpłatne bilety na koncert Filharmonii Poznańskiej i przedstawienie operowe „Quiz muzyczny” należy zaliczyć do pomysłów udanych i jak najbardziej pożytecznych.

Poziom audycji, jej „sens”, w dużej mierze zależy od odpowiedniego podkładu informacji rzeczowych. Młodzież wnosi z audycji mnóstwo wrażeń i przeżyć artystycznych, a także niewątpliwie cenne wiadomości, których nie ma w programie szkół zawodowych.

Po tym wszystkim, co się powiedziało, niech wolno będzie tą drogą przekazać Filharmonii i Operze Poznańskiej wyrazy szczerego uznania i podziękowań za wydatną pomoc w pracy wychowawczej z młodzieżą.

HELENA KOCJAN
Pila

Zle się ostatnio ze mną dzieła. Zaczynam mieć trudności w definiowaniu pojęć tak ważnych jak: taktyka, uczciwość, odwaga.

Telefon z Prezydium GRN.

— Prosimy o wydelegowanie nauczycieli do zbiórki ulicznej na odbudowę Warszawy.

— Ależ u nas nie ma ulic, przecież to wieś.

— Nie szkodzi. Macie kościół, można stanąć, gdy ludzie będą szli na sumę...

— Pod kościołem? A rzeczywiście, tam jeszcze nauczyciele nie stali.

— A nie można zamiast tego zrobić imprezy w szkole, jak co roku?

— Można, ale i zbiórka być musi.

— Zrozumie, że...

— Tu nie ma nic do zrozumienia.

— No, to się nie dogadamy.

— A więc odmawiacie? Postawimy tę sprawę na Prezydium.

Trzaski runocej stuchawki.

— Jakaś ty nierozważna — strofuje mnie koleżanka. — Po co zadzierać z władzą? Przecież co roku tyle pieniędzy wysyłamy na SFOS. Z tego część zawiozłoby się do Gromadzkiej Rady Narodowej z adnotacją: ze zbiórki ulicznej. Oni by sobie „odchaczyli”, my wyrzucilibyśmy gromadzką radę w jej działalności i wszystko by grało.

— Trzeba trochę taktyki...

— A co z uczciwością?

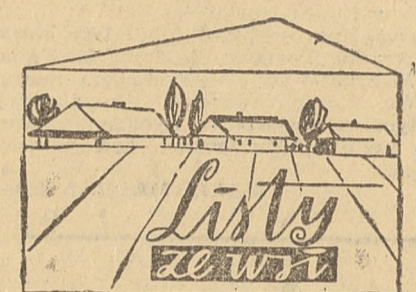
— Taktyka nie wyklucza uczciwości, pomaga tylko w przystosowaniu jej do życia.

— Chyba koleżanka w tym strofowaniu mnie miała trochę racji. Ale jakoś nielato traficie się zdobyć na dyplomację tam, gdzie sprawy są nader proste. Oto chociażby taka taktyczna gaffa popełniona przed rokiem.

— Sesja Powiatowej Rady. Na porządku dnia — sprawy lokalowe. Jeden z radnych udowodnił, że nie należy traktować poważnie postulatów nauczycielskich dotyczących mieszkań, bo „przecież mogą mieszkać po kilku razem”. Przewodniczący kiwa głową z aprobatą. Inni milczą. Nikt, oprócz nauczycieli, nie protestuje. Zaczynam na ka-

waleczki drzew „porządek dzienny” sesji. Nie pomaga. Wstaje.

— Czy nauczyciele to króliki, które można zamknąć do jednej klatki? Wiem, że jest trudna sytuacja



Taktyka czy życzliwość?

mieszkaniowa, ale nie aż tak, żeby z 10 izb w starej szkole nie można było wygospodarować ani jednej dla nauczyciela. Mieszkać ją nawet ludzie niczym ze szkołą nie związani, a tymczasem nauczycielka przykrywa łóżeczko dziecka płaszczem od deszczu, bo dach strychu, gdzie mieszka — podziurawiony. Przewodniczący zna tę sprawę i zaakceptował ją wbrew zaleceniu Komitetu Powiatowego KPZR.

— I co to dało? Jedyne zadowolenie w naszym oponentom. Wiem, że niecierpliwość nie sprzyja rozwiązaniom. Gniew w kontaktach

— Nie mam zamiaru polemizować. Proszę tylko o przyjęcie mojej rezygnacji i skierowanie z listy radnych, z którymś z kolegów, do braku szacunku do niektórych ludzi, z którymi musiałabym tu współpracować.

— Rezygnację przyjęto, a jakże, tylko potem nie mogłam odmówić słuskości wywodom sekretarza KPZR.

— I co to dało? Jedyne zadowolenie w naszym oponentom. Wiem, że niecierpliwość nie sprzyja rozwiązaniom. Gniew w kontaktach

MARIA ŁOPATKOWA

JESZCZE nie zamklił ogień karabinów i armat na zachodniej granicy, a już zaczęła się w kraju pośpieszna praca nad zalecaniem ran zadanych przez wojnę gospodarczą i kulturze narodowej. Wszystkie dziedziny życia państwowego zostały zreformowane. Demokratyzacja idea przepojona została reforma szkolnictwa, która postawiła sobie za cel dać jak najliczniejszemu rzeszom młodzieży rzetelną naukę. Z tej dążności wynika nie tylko rozbudowa szkół państwowych, lecz także przychylne stanowisko rządu do otwierających się prywatnych szkół średnich w zacończonych zakątkach kraju, po miasteczkach i nawet wsiach, gdzie przed wojną nikt o tym nie myślał ani też nie było ku temu warunków.

Przypadek dał mi w ręce kierownictwo jednej z takich szkół. Nazwa jej brzmiała: Samorządowe Humanistyczne Gimnazjum Koedukacyjne. Pracę rozpoczęliśmy z dniem 1 marca 1945 r.

Jeszcze przez parę tygodni po tym zgłaszali się chłopcy i dziewczęta z okolicznych wsi z prośbą o przyjęcie. Nie obezno się też bez prób przekupstwa podejmowanych przez spóźnionych kandydatów. Matki uczniów natrętnie wtykały mi do rąk serki, garnczki masła, a nawet kawałki słoniny i kiełbasy, nader pońetne i trudne w tym czasie do nabycia smakolki i bardzo się dziwiły, gdy prezent nie został przyjęty. „Je wezciez, je dyć wam trzeba, je dyć wam sie nolezy” — naprzykrzały się, gdy prezent odpychałem z niesmakiem. Gdzieś w połowie kwietnia zapukała do drzwi kancelarii dyrektorskiej kobieta. Weszła nieśmiało. Zwyczajem więksim pochwała. Pana Boga i powolnym krokiem zbliżyła się do mojego biurka. Za nią postępowała dziewczyna, widocznie jej córka, jak świadczyło podobieństwo rysów.

Domyślając się, że chodzi o wpis nowej uczennicy, od razu jasno postawiłem sprawę:

— Już nikogo się nie przyjmujemy. Nauka odbywa się już od półtora miesiąca. Teraz za późno na wpis.

— Na to kobieta:

— Proszę pana dyrektora, ja też nie wiedziałam, bo miyskom daleko. Dopiero kiedyś pani nauczycielka we wsi mi powiedziała, że nastalo gimnazjum i radziyla, żebyz zapisała córka, bo sie bardzo dobrze ucyla w nasy skole, to moze i w gimnazjum dalaby sobie radę. Jo tyz pana dyrektora bardzo proszę o tą łaskę, żeby mi dziecko przyjął, choć tak późno ją przyprowadziłam. Ona się będzie dobrze ucyla i moze sie na co wyucy. Niek tyz pon dyrektore... — Przy tych słowach wydobyla z koszyeczka, który z lewej ręki jej zwiisał, garnczek masła i postawiła na biurku. — Niek tyz pon dyrektore nie pogardza tam odrobineczką.

To mnie trochę poroirowało. Więc głosem stanowczym i trochę podniesionym powtórzyłem odmowną decyzję:

— Gospodiu, nie ma o czym gadać. Przyszliscie za późno i przyjęcie jest wykluczone. Szkoda tego czasu, co tu stoicie, bo nic nie uzyskacie. To, co powiedzialem, jest nieodmienne. Zabierzcie sobie garnczek i idźcie do domu.

A ponieważ się ociągała, wepchnąłem go jej z powrotem do koszyeczka. Kobieta zaczęła lamentować:

— O mocny Boze! Tagęmy się w chalupe ciessyli, ze dziecko będzie sie w ty wyzsy skole ucycio, ze sie wyucy i będzie ji lepi jak nom i jescze nom będzie pumogala. A tymczasem nic z tego. O miły mocny Boze!

— Nie jest stracone — przerwałem jej wylezła. Córka może być przyjęta po wakacjach we wrześniu, jeżeli zda egzamin wstępny. A teraz nie zabierajcie mi czasu, bo mam dużo roboty.

— Po wakacjach mówicie, panie, ale ona straci przez to cały rok. A dziopina już niemłodziutko: mo styraście roków.

— No to trudno. Samieście sobie winni. Do widzenia.

— Cy to ostatnie wase stowo, panie dyrektore?

— Ostatnie — odpowiedziałem z naciskiem.

— No to ostajcie z Bogem. Pódz, Józiu. — I zwróciła się ku drzwiom.

Dziewczyna, stojąc na boku nieco pod ścianą, śledziła rozmowę z napiętą uwagą i wyraźnym niepokojem, który się odbijał na jej twarzy. Była to twarz niepociągła, blada, zatroskana. Wzrostem dorównywała prawie matce, ale była szczupła. Skromne ubranie nie wskazywało na zamożność rodziców. Gdy dialog z matką zamknął wyrazem „ostatnie”, w oczach córki zabłyśły łzy. Zaledwie za nimi zamknęły się drzwi, weszła panna Wanda S., nauczycielka biologii.

— Po tych słowach „obryła” się energicznie i wyszła nie czekając na replikę z mej strony.

Zastanowił mi ten argument społeczno-klasowy, najzupełniej bezpodstawnie do mnie zastosowany. Skąd ona jest? W kancelarii nie zapytałam się jej o to, nawet o nazwisko się nie pytałam, bo sprawa jej była nieaktualna, pozbawiona szansy pozytywnego załatwienia. Gdzieś tu żyją tradycje ucisku pańszczyźnianego, szczególnie srogiego.

— Nie doprowadziłem tych rozważań do końca, bo znów odezwała się pukanie do drzwi i weszła — córka. Była spłakana. Zatrzymała się przy drzwiach i głosem łęklwym, w zdaniach urwanych podjęła ostatnią próbę osiągnięcia wymarzonego celu.

— Jo sama przychodzę prosić pana dyrektora, bo może pan dyrektor nie wierzył mojej mamie, że ja się bardzo chcę

ŁAPÓWKA

opowiadanie pedagoga

— Czy mamy nową uczennicę? — zapytała.

— Nie. Nie przyjąłem.

Po lekcjach wróciłem do domu trochę nieswój. Ta babina mówiła mi samym językiem, którym przemawiała moja matka w domu rodzinnym. Ten bolesny wykrzyknik „Miły mocny Boze” wyrwał się jej z piersi za każdym razem, ilekroć jakaś strata, niepowodzenie, zawód lub nieszczeście uderzyło w naszą rodzinę. A los nie szczędził nam takich ciosów.

Odpocznęk poobiedni przerwało mi pukanie do drzwi i na wezwanie: „Proszę” — weszła ta sama „interesantka”. Bez żadnego wstępu przystępując wprost w medias res powtarzając swą prośbę tylko z większą ekspresją:

— Je dyć, panie, miyście litosć i przyjmijcie ją do tego gimnazjum. Ona calo we łzak, krzyczy, jęcy, bęcy i obiecuje, ze se co zrobi, jak nie będzie teroz przyjęto. Dejcie sie uprosić, panie dyrektore i przyjmijcie ją teroz.

— Słyszeliście już w kancelarii — powiadam — że nie mogę przyjąć, absolutnie nie. Dopiero po wakacjach. Ten kurs, który się liczy za rok nauki, kończy się 31 lipca. Z końcem sierpnia będą przyjmowali uczniów na rok szkolny 1945/46. Przyprowadzić ją w tym terminie i wasza córka może za trzy miesiące zostać uczennicą gimnazjum. Bardzo mi cieszy jej zapal do nauki, ale waszego życzenia spełnić nie mogę. Nie wolno mi.

Kobieta przez chwilę milczała, nareszcie wybuchła:

— Prędy Pana Boga można uprosić jak wos. Niedarmo starzy ludzie we wsi godają, że panowie nigdy nie byli do brzy lo chłopów i nie będą. Teroz jo wierzą, że to prowadzi

uczyć i chcę chodzić do tego gimnazjum. Przecież dla mnie jedne — wpadała dość często w gwarę — najdzie się miejsce w klasie. Jo nikomu nie będę zawadzała, tylko będę cicho siedzieli i słuchać panów profesorów.

— Dziecko! — przerwałem jej — o miejsce nie ma biedy, tylko mnie nie wolno przyjmować uczniów prawie w samej połowie kursu. Słyszalaś, com powiedział twój mamie. W tym czasie żadna szkoła cię już nie przyjmie. Zrozum to.

Ale dziewczyna nie ustępuje, zbliża się do stołu i ciągnie dalej swą suplikę zaprawiając ją zgrabnie pochlebstwem.

— Ja słyszala, że pan dyrektor lubi dzieci, co się dobrze ucza i sprawnia, a ja się będę uczyła najlepiej, będę się tak uczyła, że pan dyrektor będzie zadowolony, będzie ze mnie rad i nie będzie żałował, że mnie do gimnazjum przyjął. Jo panu dyrektorowi będę za to wdzięczna... ja się odwdzięczę... jo teraz nie mogę... zdania się jej rwaly... — teraz tylko...

Przerwała potok wymowy, nerwowym ruchem wsadziła rękę do głębokiej kieszeni przy piaszczuku, chwilkę w niej gmerała, aż wydobyla dwa jajka.

— Proszę się nie gniewać, to tak z grzeczności... ja będę pana dyrektora...

Teraz mnie naprawdę wzięła złość. Co ta smarkata sobie uścisła? Wstałem z kanapy, na której w toku dotychczasowej rozmowy siedziałem, w zamiarze, aby ją wziąć za ramię i wprowadzić do sieni. Przesztraszyła się, zrobiła krok wstecz, ręce podniosła do wysokości piersi składając dłoń jak do modlitwy, oczy wbiła we mnie, a usteczka zdrażyły jej, jakby miała wybuchnąć płaczem. Nie znoszę scen płaczliwych i tym bardziej chciałem się jej pozbyć. Spojrzałem surowo w

jej twarz i oczy i — zaniechałem zamiaru. Z wielkich, czarnych źrenic teraz zachodzących łzami, biła taka przejmująca potęgą prośba, biłania, wspierana dziecięcą ufnością — nawiąną wiarą, że będzie wysłuchana, że się zmieszalam. Uczulem, że zimne obręcze obowiązku i norm urzędowych zaczęły się we mnie rozluźniać. Zał mi się jej zrobiło. Nie mogłem odprawić jej tak, jak odprawiłem matkę. Przeszedłem się kilka razy po pokoju, aby ukryć wzruszenie, a zapanował wady nad nerwami zapytałem:

— Jak się nazywasz?

— Józka Cieź.

— Czy z Kasinki?

— Tak.

To nazwisko przywiodło mi na pamięć kolegę, z którym mieszałem w bursie akademickiej w Krakowie. Pochodził właśnie z Kasinki.

— Czy z twojej rodziny wyszedł jakiś wykształcony człowiek?

— Tak, wyszedł. To był mój stryk. On był profesorem, ale umarł dawno.

— Więc chcesz się uczyć? A czym chcesz być?

— Ja chcę być nauczycielką. Ja chcę uczyć dzieci, dużo dzieci. Chcę być taka jak nasza pani nauczycielka, ta, co mnie uczyła. Ona dzieci lubi i ona dzieci ogromnie lubią. Poniektóre dzieci nie są dobre, są rozpustne, robią psoty, dokuczają, ale ona nikogo nie wytnie. Ona taka dobra! Ja bym chciała, żeby mnie dzieci tak lubiły, żeby mnie słuchały i kwiatki mi przynosiły, jak jej przynoszą. Ona ma także bardzo dużo książek. Cały jeden pokój wypełniony jest książkami. Pozwalała mi przychodzić, wybierać sobie książki i czytać. W niektórych są prześliczne obrazki. Ja bym cały dzień czytała gdybym miała czas, gdyby mnie nie wołali do roboty. Jak będę nauczycielką, to nakupię sobie także tyle książek i będę czytała, a potem dzieciom opowiadała to, com wyczytała w książkach.

— Więc zawód nauczycielski ci się podoba. Ale nauczycielka musi także społecznie pracować.

— Ja będę... Ale nie wiem, co się to robi.

— O tym dowiesz się później. A teraz idź i powiedz matce, niech przyjdzie jutro przed południem do kancelarii z dokumentami. Ty zaś zgłoś się pojutrze do egzaminu wstępnego.

Dziewczynka przyskoczyła do mnie, lewą rękę uchwyciła mi chudymi, żyłastymi palcami i przyciągnęła do swoich warg.

— Idź już! — krzyknęłam.

Wyrzuciła jeszcze z ust jakieś wyrazy podziękowania i wypaliła w pole.

— A zabierz sobie te jajka! — zawołałem za nią. Ale słów mych już nie słyszała. Stała przy matce i dzieliła się z nią radością z odniesionego sukcesu.

A teraz rozpowie po wsi, że mnie przekupiła dwoma „jajkami” — mówiłem do siebie patrząc na rozrzewniającą ją powłokę.

SEBASTIAN FLIZAK

Uczę i wychowuję
— uczę mnie i wychowują

Przymusu w dokształcaniu
nie ma, lecz mimo to...

Jestem jednym z realizatorów hasła „Polska krajem ludzi kształcących się” i muszę dodać, że realizatorem o podwójnym obliczu statystycznym. Ponieważ raz jako nauczyciel dokształcałem młodzież po dwudziestce, a drugi raz jestem samotowany w statystykach uczelnianych jako perspektywa naukowa. Gdyby mnie ktoś spytał, dlaczego uczę to bym odpowiedział, że nie mam nic lepszego do roboty i gdyby mnie ktoś inny zapytał, dlaczego się uczę, to dałbym identyczną odpowiedź.

Przymusu w dokształcaniu nie ma w Polsce Ludowej, lecz mimo to do szkoły pchają się ludzie „drzwiami i oknami”. W wielu z nich zasiada na ławie szkolnej po kilkunastu, a nawet kilkunastoletniej przerwie. Wyszumiał się taki piąty czy dziesiąty w latach obowiązuje naukę, a teraz przyszedł po rozum do głowy i między innymi nad równaniem kwadratów godzinę, podczas gdy w młodości mógł to zrobić w ciągu pięciu minut. Pot spływa moim podopiecznym po czole jak w rzymskiej laźni.

Co drugi z dorosłych uczniów, kłiwą głową nad swoją młodzieńczą głupotą, mówi: „Panie profeszore, to moja córka mi pokazywała, jak to się robi, a mnie już z głowy „wyparowało”. Czy mi tam nauka w głowie, gdy żona ciągle wysyła po zakupy, gdy w pracy człowiek tyra. Przymusu w dokształcaniu nie ma, ale personalny od czasu do czasu wyrywa i uświadamia, ba, nawet oblicze wyższą grupę, wygodniejszy fotel w biurze, byle tylko tych 9 klas ukończyć. Bodźce ekonomiczne przypominają o swolm istnieniu, przy każdej wypłacie.

Obserwując swoich dorosłych uczniów, przeglądam ich ankiety. Większość z nich swą młodość szkolną przeżywała w latach pięćdziesiątych, a więc w warunkach równie dogodnych do nauki, jak obecnie. Wtedy opuszczali szkołę za wagary, chuligaństwo lub też tak „dla draka”. Obecnie, obarceni rodziną istotnie tyrają na dwie zmiany.

Przymusu w dokształcaniu nie ma, a więc nikt z nauczycieli nie może stosować do tych dorosłych uczniów taryfy ulgowej. Mam w naszej szkole kilkunastu takich, którzy przechodzą dopingurowani przez zakład pracy. Dobry, ale zupełnie niezdolni ludzie uśmiechają się mówiąc, że są „kapitałem obrotowym”, z którego nauczyciele mogą żyć do emerytury.

Przechodzą ci ludzie, pomimo że na pytanie, co pan wie o Zeromskim, odpowiadają, że to jeden z ludzi bezdymnych, którego wyrzucili z pracy, dlatego że się nie dokształcał. Przechodzą do szkoły, bo choć przymusu w dokształcaniu nie ma, do ławy szkolnej napędzili ich samo życie.

Warto z ich uporem i ciężkim niejednokrotnie znaniem zapoznać młodych, początkujących bumelanów w szkołach młodzieżowych. Rezę za powodzenie tego eksperymentu.

LEWAN

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAOPATRZENIA SZKÓŁ „CEZAS” w ŁODZI
DYREKCJA — ŁÓDŹ, ulica PIOTRKOWSKA nr 107

ZAOPATRUJE przedszkola, szkoły stopnia podstawowego, ogólnokształcące oraz ZAWODOWE

- W POMOCIE NAUKOWE
- SPRZĘT SZKOLNY
- DRUKI SZKOLNE
- ODCZYNNIKI I SZKŁO LABORATORYJNE

ŁÓDŹ — PIOTRKOWSKA 107
ŁÓDŹ — PIOTRKOWSKA 218
ŁÓDŹ — PIOTRKOWSKA 218
ŁÓDŹ — PIOTRKOWSKA 109
KR-289-0

Plenarne zebrania okręgów

W Krakowie

DZIAŁALNOŚĆ naszych ogniw związkowych jest zharmonizowana z rytmem pracy szkoły, nie więc dziwnego, że zarządy okręgowe ZNP analizują na swoich plenarnych zebraniach plany pracy oraz bardziej szczegółowo ważniejsze problemy, które należy rozwiązywać w bieżącym roku szkolnym. W województwie krakowskim szczególną uwagę zwrócono na pracę ognisk ZNP, bowiem realizacja planów pracy Zarządu Głównego, zarządów okręgowych i powiatowych ZNP zależy przede wszystkim od działalności ognisk ZNP.

Czy ognisko może podać rozlicznym, stojącym przed nim zadaniom? Na to pytanie starał się odpowiadać uczestnicy krakowskiego plenarnego zebrania Zarządu Okręgu dając przykłady dobrze pracujących ognisk. Powszechnie znana jest aktywność Ogniska w Łącku (powiat Nowy Sącz). Dobrze przygotowane konferencje rejonowych, organizowanie imprez artystycznych, praca różnych zespołów, wycieczki — powodują, że obecnie Łącko jest znane nie tylko z sadów owocowych, dzieła kierownika szkoły, kol. Wilkowicza. Takich aktywnych ognisk można wymienić w każdym powiecie czy województwie dużo więcej. Jednak jeszcze ciągle zbyt wiele jest takich, które istnieją tylko formalnie i nie wykazują żywej działalności.

Zarząd Główny ZNP ogłosił konkurs pod hasłem: „Nasze ognisko dobrze pracuje”. Wiele okręgów wykorzystalo walory, tkwiące w konkursie. Natomiast ogniska województwa krakowskiego wykazują małe stosunkowo zainteresowanie tą akcją. Słuszna więc była uchwała

Telewizja w szkole

NARZEKANIE na programy telewizyjne weszło już niejako w zwyczaj. Rzadko zdarzy się audycja, która w opinii krytyki zasługuje na nieco laudatoryjne potraktowanie. Tymczasem jeśli chodzi o szkolne audycje telewizyjne, stwierdzać trzeba, że osiąga ją one, a przynajmniej niektóre z dotychczas nadawanych, poziomem całkowicie zadowalający. Oczywiście, nie brak im jeszcze potężnej, mniejszych lub większych usterek, trudno też przewidywać, co przyszłość przyniesie, w każdym razie widak wyraźnie, że w przygotowaniu programów tak autorzy, jak i realizatorzy wkładają niemało pracy i inwencji.

Z dużą starannością np. przygotowana była audycja dla klas V — „Spotkanie z Janem Brzechwą”. Inna sprawa, że lekcja tego typu już w samym swym założeniu musiała być atrakcyjna — spotkanie z autorem, zwłaszcza popularnym i lubianym, zawsze witane jest przez dzieci z entuzjazmem. Ile takich spotkań w roku może szkoła zorganizować? Telewizja nie tylko „wprawdza do klasy” pisarza we własnej osobie, ale rozporządza bogatą techniką operatorską potrafi lepiej zapoznać dzieci z jego warsztatem twórczym niżby on sam to zrobił w bezpośrednim spotkaniu. Dzieci oglądają nie tylko autora, ale „wchodzi” do pokoju, w którym on zwykle pisze, poznają jego bezpośrednich współpracowników, uczestniczą w konsultacji z grafikami Janem Marcinem Szancerem. Na podkreślenie zasługuje swobodna, w koleżeńskim tonie utrzymana, rozmowa obu panów stwarzająca złudzenie, że uchwyciono „na gorąco” moment ich rzeczywistej pracy.

Na uwagę zasługuje fakt, iż dołożono wszelkich starań, aby lekcję uatrakcyjnić.

Brzechwa wprawdzie należy do tych nielicznych autorów, którzy potrafili recytować swoje utwory, niemniej na pewno lepiej od niego robili to znani artyści. Obok przyjemnej rozrywki otrzymali dzieci równocześnie wzrok doskonałej recytacji.

Uczniowie nie nudzą się ani przez chwilę. Najpierw absorbują ich sama osoba autora, potem uwagę ich przykuwają aktorzy, wreszcie — zdumienie i zachwyt na widok kilku, kreskami powołanych do życia znanych postaci bajkowych. Z partym oddechem śledzą dzieł ruchy ówka i ręki pana Szancera, dla którego narysowanie np. Koziołka-Matolka jest dosłownie dziełem jednej chwili.

W audycji nie zabrakło ani dyskretnych oprawy muzycznej, ani ilustracji, wykonanych przez znanych rysowników, do każdego deklamowanego wierszyka. Nie było dłużym ani fragmentów niejasnych, lekcja przebiegała w tempie żywym.

Mam tylko jedno, dyskusyjne zresztą, zastrzeżenie. Wydaje się, że wyszłoby na korzyść audycji, gdyby ograniczono nieco czas przeznaczony na znakomite zresztą recytacje, pozwalając autorowi dłużej pogawędzić z dziećmi. Jak sam powiedział, dzieci piszą do niego mnóstwo listów, w których zadają wiele pytań dotyczących jego warsztatu twórczego, powstawania pomysłów etc. Byłoby więc o czym mówić, zwłaszcza że Brzechwa robi to w bardzo ujmujący sposób. A już na pewno bez szkody można by zrezygnować z czytania mało zrozumiałego fragmentu utworu scenicznego „Akademia Pana Kleksa”.

D. B.

Pedagodzy węgierscy w Polsce

W dniach od 15 do 26 października 1962 roku przebywała w Polsce — na zaproszenie Zarządu Głównego ZNP — oficjalna delegacja Związku Nauczycieli Węgierskich.

W skład jej weszli: Sandor Hanorl, kierownik Wydziału Pracy i Zagadnień Społecznych, członek ZG; József Méhes, dyrektor Instytutu Niewidomych i kierownik Wydziału Szkolnictwa Specjalnego, członek ZG; Ivánné Tardos — zast. dyrektora Szkoły Ćwiczeń przy Uniwersytecie Budapeszteńskim, sekretarz 5 Rejonu Budapeszteńskiego Związku Nauczycieli Węgierskich.

W czasie swego pobytu w Polsce goście zwiedzili Warszawę, Katowice, Oświęcim, Kraków, Nową Hutę i Zakopane zapoznając się z zagadnieniami oświatowymi oraz osiągnięciami w dziedzinie szkolnictwa ogólnokształcącego i specjalnego, a także z całokształtem pracy naszej organizacji związkowej.

Oprócz takich zagadnień jak: system wynagradzania nauczycieli w szkołach podstawowych; obowiązkowy wymiar godzin nauczania; system i formy podnoszenia kwalifikacji i dokształcania ideologicznego nauczycieli, rola organizacji związkowej w opracowywaniu nowych metod nauczania i wychowania, działalność organizacji związkowej w zakładach kształcenia nauczycieli — gości węgierskich szczególnie interesowało zagadnienie wychowania dzieci niewidomych i możliwości rehabilitacyjne dzieci o słabym wzroku, a także zagadnienie kształcenia nauczycieli pracujących w tych placówkach.

W związku z tym delegacja zwiedziła

Państwowy Zakład Wychowawczy dla dzieci niedowidzących w Warszawie przy ul. Górnośląskiej 9, w celu zapoznania się z pracą dydaktyczno-wychowawczą tej placówki.

Będąc w okręgach katowickim i krakowskim delegacja zwiedziła wiele szkół i placówek wychowania pozaszkolnego. W czasie spotkania z aktywnymi nauczycielskim i związkowym nastąpiła wymiana poglądów i doświadczeń na tematy pedagogiczne i związkowe interesujące obie nasze organizacje.

Podczas spotkania z kierownictwem Zarządu Głównego ZNP oraz wydziałami: pedagogicznym, socjalno-ekonomicznym, PSO, wczasowym i leżnictwa — delegacja nauczycieli węgierskich zapoznała się z formami pracy naszego Związku, a także podzieliła się osiągnięciami w dziedzinie oświaty od czasu VII Zjazdu Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej oraz po wprowadzeniu nowej reformy szkolnictwa na Węgrzech.

A oto najważniejsze założenia nowej reformy szkolnictwa: ściślejsze powiązanie szkoły z życiem, połączenie nauki z pracą, opracowanie nowoczesnych programów nauki, zmniejszenie przeciążenia, uwzględnianie w pracy szkolnej, w większym niż dotychczas stopniu — zasad marksizmu-leninizmu. Wiek obowiązkowego nauczania podniesiono do 16 lat. Zwiększono ilość uczniów szkół podstawowych i średnich biorących udział w zajęciach praktycznych. I tak o ile w roku szkolnym 1961/62 w przysposobieniu zawodowym o charakterze przemysłowym lub rolniczym brało udział 67% młodzieży szkół średnich, to w tym roku już 92,5% uczniów pierwszych klas. Rozpoczęto rozbudowę sieci średnich szkół zawodowych. W wyższych uczelniach znacznie przedłużono i usprawniono praktykę zawodową. Rozszerzono te formy nauczania (studia korespondencyjne, szkoły wieczorowe), które umożliwiają dalsze kształcenie się ludziom pracującym, tak młodzieży, jak i dorosłym.

Jednym z najdonioślejszych rezultatów reformy szkolnictwa jest przystąpienie do rozbudowy sieci techników wyższego stopnia, w celu zaspokojenia kadrowych potrzeb gospodarki narodowej oraz podniesienia poziomu technicznego. Podniósł się również poziom kształcenia pedagogów: szkolenie nauczycieli i przyszłolanek ze stopnia średniego podniesiono do wyższego.

zawarte w wygłoszonych referatach i w dyskusji wtedy będą miały pełną wartość, jeśli zastosujemy się o wprowadzenie ich do praktyki szkolnej. Ten problem wymaga przeanalizowania przez wydziały pedagogiczne Zarządu Okręgu i zarządów oddziałów powiatowych.

Wiele uwagi poświęcono między innymi formom dokształcania nauczycieli na drodze zaocznej i korespondencyjnej. W tej dziedzinie nasi koledzy oczekują większej opieki ze strony władz nadzerczych. Warto jeszcze wspomnieć o sposobach, jakimi Zarząd Okręgu i WZGS starają się przychodzić kolegom z pomocą w dziedzinie zaopatrzenia.

WZGS w Olsztynie wydało 10 000 pocztówek z przejrzysto wydrukowaną ankietą, dotyczącą zaopatrzenia GS. Wystarczyło wypełnić lub podkreślić odpowiednie punkty, wysłać pocztówkę do WZGS, aby zapewnić sobie natychmiastową interwencję. Dzięki uzyskanym informacjom usprawnił WZGS sprzedaż chleba w sklepach spółdzielczych, postarał się o większą ilość zeszytów dla szkół itd. Szkoła tylko, że z kart — dostarczonych przez Zarząd Okręgu prezesom oddziałów powiatowych — wrócić załatwić. Z takich powiatów jak Bartoszyce, Pisz, Braniewo i Węgorzewo nie wpłynęła ani jedna. Czyżby tam nasi koledzy nie mieli żadnych trudności z zaopatrzeniem?

W Warszawie

JEDNYM z podstawowych tematów obrad październikowego plenum Zarządu Okręgu Stołecznego ZNP — był plan pracy pedagogicznej na rok bieżący. Zatwierdzenie przez plenum projektu planu poprzedziła szeroka dyskusja, w której skoncentrowano się nad treścią

Szkoły muszą być budowane taniej i lepiej

(Dokończenie ze str. 1)

kretnym przypadku, jest bardzo ważna. Dobra karta katalogowa powinna być zasadniczym elementem założeń programowych budowanej szkoły. W pracach nad doskonałymi projektami bardzo ważne są opinie i uwagi oświatowców budowanych do użytku. Chodzi o uwagi i ocenę przez użytkowników przydatności obiektów do organizowania pracy dydaktyczno-wychowawczej, dostrzeżone przy korzystaniu zależy i wady różnego rodzaju.

POTRZEBNA SZEROKA INICJATYWA I POMOC SPOŁECZNA

Od wielu lat inicjatywa społeczna odgrywa w budownictwie szkolnym bardzo poważną rolę. Tak w okresie międzywojennym, jak i obecnie, siłą napędową tej inicjatywy byli przeważnie nauczyciele i kierownicy szkół. Związani z aktywnym społecznym wsi i osiedli, nie zrażając się licznymi trudnościami, latami całymimi biegali o sprawę, kołotali do serc i umysłów i nie ustawali dopóty, dopóki nie wprowadzili dzieci do nowych sal szkolnych. Ta inicjatywa jest szczególnie potrzebna dziś, kiedy pętrzą się zadania i musimy zabezpieczyć bazę lokalową dla wprowadzanej reformy szkolnej. Na jakich sprawach koncentrować się powinna inicjatywa i pomoc społeczna?

Głównym źródłem pomocy społecznej są dziś świadczenia na SFBS. Od 1959 roku do połowy roku obecnego zebrano na SFBS ponad 4.600 milionów złotych. Kwota ta stanowi równowartość blisko 9 tysięcy izb lekcyjnych.

Na 1 września br. oddana została do użytku pięćdziesiąta szkoła pomnik Tysiąclecia. Osiągnięcie to niewątpliwie poważ-

ne. Ale, jak wykazała analiza, jest jeszcze wiele do zrobienia w zakresie upowszechniania świadczeń i zwiększenia pomocy społecznej.

Oprócz świadczeń na SFBS, pokazną pozycję w całym bilansie społecznego wkładu w budownictwo szkolne stanowi budowa bądź rozbudowa szkół w czynnie społecznym, w oparciu — w znacznym stopniu — o własne środki poszczególnych środowisk (gotówka, materiały, robocizna) przy pomocy państwa. Ta droga wybudowanych w latach 1961—62 około 430 izb lekcyjnych. W związku ze zbliżającym się terminem przejścia na 8-letni system nauczania, w wielu miejscowościach zachodzi konieczność dobudowania do istniejących obiektów 2-3 izb lekcyjnych, aby można było realizować program szkoły 8-klasowej. Nad rozwiązaniem tej sprawy muszą się już zastanowić poszczególne wsie i osiedla.

Upowszechnienia wymagają także różne formy pomocy społecznej przy budowie szkół, stosowane dziś już w coraz liczniejszych przypadkach. Do nich należy przede wszystkim pomoc w postaci materiałów budowlanych wykopkach pod fundamenty, urządzenie zagospodarowania terenu przyшкольного, ogrodzenie, zwózka materiałów budowlanych i wiele innych prac odciążających przedsiębiorstwa budowlane i limity inwestycyjne.

W tych wszystkich sprawach szczególną rolę przypada komitetom społecznym, które powinny działać przy każdej budowanej szkole, niezależnie od tego, czy jest ona wznoszona ze środków skarbowych czy społecznych. Jak wykazuje doświadczenie, dobrze pracujące komitety społeczne są poważnymi ośrodkami cennej inicjatywy i realnej pomocy w przygotowywaniu i podczas realizacji inwestycji.

WALKA O WYŻSZĄ JAKOŚĆ I TERMINOWOŚĆ ODDAWANIA SZKÓŁ DO UŻYTKU

Poważną bolączką w budownictwie szkolnym jest także, w licznych przypadkach, zbyt niski poziom wykonania obiektów przez przedsiębiorstwa budowlane. Choć poprawa w ostatnich dwóch latach jest widoczna — stan ten nie może być uznany za zadowalający. Zbyt często jeszcze zdarzają się przypadki destrukcyjne wprost brakrobostwa i odbiór budynku szkolnego musi się odbywać dwa, a czasem i trzy razy z powodu poważnych usterek.

Nauczyciele szkół zawodowych uzupełniają swe wykształcenie

W WOJEWÓDZTWIE katowickim coraz więcej nauczycieli szkół zawodowych (w tym również przyzakładowych) uzupełnia swoje wykształcenie.

Na wyższych uczelniach zawodowych, pedagogicznych oraz uniwersytetach studiuje 190 nauczycieli. Ponadto na Wydział Zaocznym Technikum Przemysłowo-Pedagogicznego uczęszcza 185 inżynierów, na Wydział Zaocznym SN dla nauczycieli szkół odciożowych — 42 osoby, zaś na Wydział Zaocznym SN w Częstochowie 20 nauczycieli przedmiotów zawodowych szkół gospodarczych.

Biorąc pod uwagę fakt, że kadra nauczycieli zawodu i przedmiotów zawo-

do fakty dużo mówią. Ale wiele fu-szerek ujawnia się często dopiero po jakimś czasie, w użytkowaniu. Z nimi kierownicy szkół mają bardzo poważne kłopoty, gdyż przeważnie nie mogą się do prosić o pomoc fachowców. Dlatego na dopinaniu, aby szkoły były wykonywane solidnie, skoncentrować się dziś muszą służby inwestycyjne, administracja szkolna i komitety społeczne.

Wspomniana na wstępie uchwała Rady Ministrów z 27.VII.1962 r. zawiera postanowienie, że szkoły muszą być oddawane do użytku w terminie do 31 lipca, aby można było urządzić w nich przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. To wymaga ścisłego przestrzegania ustalonych cykli budowy, które zakładają, że jednego roku powinno się wykonywać (przed zimą) budynek w stanie surowym, nakryty dachem, oszklony, z ogrzewaniem, aby w czasie miesięcy zimowych można było prowadzić prace wewnętrzne obiektu. Wtedy tylko jest realne oddanie szkoły do użytku w końcu lipca.

Dotychczasowa praktyka znacznie odbiega od postanowień uchwały. Np. w 1962 roku, z planu rocznego, na 1 września oddano zaledwie 45,3% nowych obiektów dla szkół podstawowych. Plan na 1963 rok został już w zasadzie tak ustalony, że termin lipcowy jest przestrzegany. Czas pokaze, czy przedsiębiorstwa budowlane wywiążą się ze swych zobowiązań.

Nawet ten pobieżny przegląd spraw dotyczących budownictwa szkolnego wskazuje, wyraźnie na konieczność znacznie większego, niż to jest obecnie, skoncentrowania wysiłków wszystkich czynników, od których zależy dobra, terminowa realizacja ustalonych planów. Podział zadań i odpowiedzialność za ich wykonanie jest wyraźnie oznaczona. Administracja szkolna ma decydujący głos w sprawach gdzie, kiedy i jaką szkołę należy budować, komórki pełniące funkcje inwestora (DBOR, a w woj. baloostkomi ZIS) odpowiadają za przygotowanie lokalizacji szczegółowej, dokumentacji i fachowy nadzór nad wykonawcami; przedsiębiorstwa budowlane — za dobre i terminowe wzniesienie obiektów; komisja rozdziału robót — za przydzielenie realnej mocy przerobowej. Wszystkie te instytucje są ogniwami terenowych rad narodowych, pracując pod kierownictwem prezydentów tych rad. Są więc warunki, aby te ogniwiska się so-ba współdziałały i zabezpieczyły wykonanie zaplanowanego budownictwa szkół.

W. POKORA

„Płomyk” — w listopadzie

„Płomyk” — w listopadzie

Si nr „Płomyka” (1-15.XI) przyniósł opowiadanie „Dopiero teraz...” dające wiele do myślenia uczniom i nauczycielom.

Opowiadanie „Gdzie moja Dusia i Bobik, gdzie?” zawiera wiele humoru sytuacyjnego. W numerze tym nauczyciel znajdzie dwa ciekawe reportaże. Pierwszy — „Ucieczka do Yajales” wprowadzi w klimat walki o oświatę na wolnej Kubie, drugi — „Hasan i jego dziewczyna” zapozna z różnymi obyczajami i zwyczajami w Syrii.

Artykuł „Kamienie opowiadają o przeszłości ziemi” stanowi odpowiedni materiał do omówienia na lekcji geografii.

W 22 numerze „Płomyka” (15 — 30.XI) znajdziemy wypowiedź zmarłego niedawno pisarza Leona Kruczkowskiego pt.: „Iskra satelita się w szkole”, w której składa on hołd nauczycielom.

Następne pozycje „Płomyka” wiąże się ze światem górniczym i tematyką górniczą: „Wiat górnicy stan”, „Kto chce zostać górnikiem”, „Białe przywioły i biał”, „Jak baba Szczołbica z diabłem tańcowała”.

W tym numerze ogłoszony jest konkurs poświęcony pamięci wielkiego pedagoga i wychowawcy Janusa Korzaka.

Numer zawiera również reportaż A. i Cs. Centkiewiczów „Przygoda w Aleppo”, artykuł popularnonaukowy „Niespokojna planeta” i stałe pozycje.

„Tylko nie ujawniajcie mojego nazwiska..”

(Dokończenie ze str. 1)

W dalszej części uchwały sekretariatu KC z 1960 roku czytamy:

„Ważnym środkiem naprawy uchybień wobec krytyki prasowej musi być energiczna obrona przed instancje partyjne ludzi nekanych za publiczne ujawnianie zł. Należy ich bronić nawet wówczas, gdy krytyka z ich strony w jakiejś części była niesłuszna, ale zasadnicze zarzuty znalazły potwierdzenie. Winien niewiastki, weso siosunku do krytyki prasowej musi odpowiadać za swe postępowanie przed instancjami partyjnymi oraz przed zwierzchnimi organami władzy państwowej, której podlega dana instytucja”.

Jednym z zasadniczych postanowień tej uchwały jest kategoryczny zakaz przekazywania do załatwienia przez ognia zwierzchnie dokumentów tym, którzy są przedmiotem krytyki. A niestety i takie fakty mają miejsce w naszej związkowej działalności. Jest to wprawdzie inny problem, bo dotyczący pewnych przejawów biurokratyzmu. Ma on jednak ściśle związek z zasadniczym tematem. Obawa pisania krytycznych korespondencji wynika bowiem i stąd, że materiały te otrzymuje do rozpatrzenia krytykowany. A wtedy — jak to napisał ktoś do redakcji: „lepiej, żeby cię matka nie urodziła”.

Sądze, że z treścią tej uchwały powinny się dokładnie zapoznać nie tylko podstawowe organizacje partyjne w szkołach i terenowych władzach oświatowych. Powinny się zapoznać wszystkie nasze ogniwiska związkowe. Bowiem, na naszym szkolnym podwórku, szczególna rola w obronie

nauczycieli — przypada ZNP, ogniskom i oddziałom. Tym instancjom, które właśnie na miejscu, w terenie, powinny przed szczykami ustroze ludzi odważających się na krytykę. Właśnie dlatego, że jak powiadają gorzko doświadczeni — redakcja jest daleko i ma możliwość interwencji tylko w sporadycznych przypadkach, a władze są na miejscu. Odtó to, ale wszędzie na miejscu są i podstawowe organizacje partyjne, jest i Związek i w nich możemy nauczycieli znaleźć oparcie. I gdyby możliwe ogniwiska ZNP zajmowały taką postawę, jak — wspomniane w przykładach — ognisko w „X”, a nauczyciel czulby, że w potrzebie znajdzie zawsze obronę, to śmiejeł pisałby o niedołączaniach i brachach. A to wyszłoby tylko na dobrą sprawie szkoły i wychowania.

DANUTA CHRZCZONOWICZ

Ogłoszenia drobne

CZŁONKOM OGNISKA ZNP Sieszyn, pow. Kutno, Kolekankom, Kolegom i Kierownikom szkół podstawowych w Grybowie, w Oratkach, w Sieszynie i w Sieszynie, Przeszowi Ogniska, kol. Józefowi Klusce, za wiele koleżeńskich serdeczności okazanej mi w chwili przejścia na emeryturę składam gorące podziękowanie, Maria Szubikowa. 231

DYREKCJA ZESPOŁU PAŃSTWOWYCH SZKÓŁ ROLNICZYCH w Karolewie, pow. Keżryn, woj. Opatów, zawiadamia, że natchmiast, wychowawczy i nauczyciele i polskiego. Warunki pracy i płacy do omówienia na miejscu. K-287

SYGNALIZACYJNE zegary szkolne wykonuje: Zakład Zegarmistrzowski, Stanisław Poryś, Bielsko-Biała, Dzierżyńskiego 39. p. 503-0

KOESPONDENCYJNE lekcje języków obcych. Informacje: Warszawa 1, skr. 68. P. 283-0

MANEKINY krawieckie oraz inne przyrządy dla szkół wykonuje Okoński, Warszawa, Zielna 35. 213-0

CHĘTNIE POZNAM kolegę interesującego się geografią i lubiącego wycieczki. (Do list 80). Oferty proszę składać do Biura Ogłoszeń Wydawnictwa „Prasa Królewska” — Warszawa, Wiejska 12, pod nr 230.



Sobór Jana XXIII
W artykule pod takim tytułem J. Stroynowski omawia w „Argumentach” (nr 42) takie problemy, jak prymat państwa, przebudowa struktury, kościół i państwo.

O tym ostatnim problemie pisze: „Dwa stanowiska występują tu przeciw sobie. Jedno reprezentuje szef świętego Oficjum, kard. Ottaviani, drugie — przewodniczący Sekretariatu do Spraw Jedności Chrześcijań, kard. Bea. 2 marca 1963 roku kard. Ottaviani wygłosił referat zatytułowany: „Kościół i państwo. Kilka aktualnych problemów w świetle nauki Piusa XII”. Poglądy Ottaviani, które do tego czasu nie uległy w tej sprawie najmniejszej zmianie, są miarodajne dla większości pralatorów sprawujących kierownicze funkcje kurii rzymskiej. Ottaviani broni średnio-wiecznych zasad katolickiej nauki o państwie, według której państwo winno w każdym zakresie popierać Kościół, a jednocześnie nie we wszystkich kierować się jego nauką.

Kard. Bea, którego poglądy dzieli wiele wysokich osobistości kościelnych, również wychodzi z założenia, że państwo nie może być obojętne wobec Kościoła. Uważa on jednak, że w praktycznym normowaniu życia państwo-społecznego winna panować wolność religijna i polityczna równouprawnienie wszystkich obywateli. Przynależność zaś do określonej grupy wyznaniowej nie może być warunkiem pełnoprawnego udziału w życiu społecznym i narodowym. Jeśli państwo zapewnia wolność wyznania i sumienia, to Kościół winien się tym zadowolić — nawet jeśli nie jest to stosunek idealny.

Oto dwa przeciwstawne punkty widzenia, dwie tendencje, które zderzą się ze sobą w toku obrad Soboru”.

Godziny nadliczbowe
Zagadnienie to poruszono w „Polityce” (nr 42) przez A. Gutowskiego dotyczący pracowników w przemyśle państwowym, ale niemniej przez to jest interesujące również dla nauczycieli. Przypatrzmy się z tego artykułu problemy-pytania:

„Jakie skutki podlegają za sobą godziny nadliczbowe w ponad milionowej rzeszy tzw. „robotniko-chłopów”, którym dojdą do 1 i pracy oraz praca we własnym gospodarstwie zabierają dziennie co najmniej 5-6 godzin?”

„Jak oddziałują wydłużony czas pracy na około czteremilionową rzeszę włośniaków i setki tysięcy pracowników innych zawodów przemysłowych — jak godzą pracę z obowiązkami domowymi, z wychowaniem dzieci, z dbałością o swój wygląd, zdrowie?”

„Jaki wpływ wywierają godziny nadliczbowe na rozwój kulturalny robotników, na upowszechnienie wśród nich turystyki, sportu?”

„W jakim stopniu godziny nadliczbowe hamują, utrudniają wprowadzanie postępu technicznego, w jakim stopniu podrażniają społeczne koszty produkcji?”

„Godziny nadliczbowe urosły więc do poważnego problemu społeczno-ekonomicznego, którego, jak się zdaje, nie można rozwiązać wyłącznie nakazami czy zakazami, jak również w krótkim stosunkowo czasie. Za dużo zabrało się spraw, zbyt złożona stała się „jedność przeciwności”.

Obrońca Maryli Wereszszakówny
L.H. Morstin w „Nowej Kulturze” pisze o swej „wizycie w Bolcienicach”. Warto zapoznać naszych czytelników z fragmentem odnoszącym się do miłości „geniusza i kobiety”.

„Była przecie z nim w jego myślach i w sercu, nad Nową i na Krymie, na albańskich pagórkach i wśród róż Pa-

latynu, na wyspie św. Ludwika, na paryskim bruku wspaniała, demoniczna, jedyna miłość poety.

Obrońca Maryli podjęli się już inni przede mną. Nikt nie porównuje jej dziś do „Lalki” Prusa i nie potępia za to, że wolała bogatego hrabiego od ubożego genialnego poety. Coraz silniej utwierdza się przekonanie, że gdyby on był chciał, zerwałaby narzeczeństwo z Putt-kamerem. Gdyby był naprawdę chciał, byłaby zerwała i to białe małżeństwo uświęcone ślubem w kościele.

Ale on nie chciał, bo jego duma nie pozwoliłaby mu znosić szeregu upokorzeń, bo musiał cierpieć i z cierpienia, jak jedwabnik gdy nie snuje, snuć poezję czwartej części „Dziadów”. To jest jasne dzisiaj i wszystkim, co chcą znać prawdę, władome.

Pod jednym względem nie zgadzam się z biografami Mickiewicza, co piszą o romansie Tuchanowickim na ogół przedstawiają sprawę zakochania się poety przyrusem epoki romantycznej i predyspozycją uczuć. Twierdzą, że Mickiewicz ujrzał bohaterkę romansu w chwili, gdy był już całkiem przygotowany do przyjęcia miłości gorzkiej i tragicznej, gdyż nie było innej miłości w tym czasie”.

(s. 1.)

KSIĄZKI o młodzieży podzielić można z grubsza na dwie kategorie — powieści o tendencjach dydaktycznych i tzw. czarną literaturę. Oba te gatunki łączy jedna wspólna cecha — są namiętnie deklaratywne i sztuczne, a bohaterowie nieprawdziwi, w trudnym trzymają się się plaskiego ła, na którym przylepił ich autor, usiłując czytelnika przekonać — zazwyczaj zresztą bez powodzenia — o jakichś tam swych na ogół mało odkrywczych racjach.

Waldemar Babinicz zrezygnował zarówno z dydaktyki, jak i z efektywnego spleenu obcych i rodzimych Szanek — na rzecz realizmu. Ale i temu tylko częściowo udało się uniknąć niebezpieczeństwa górzającego śmiółkom podejmującym młodzieżowy temat.

Powieść jest najbardziej rzeczywista w tych partiach, w których autor zostawia w spokoju swoich bohaterów i posługuje się nimi wyłącznie dla przekazania tego, co dzieje się wokół nich. Z kłopotem pobieżnie naszkicowanych obrazków wyłania się prawdziwa współczesna wieś, niespokojna, skłębiona wewnątrz, nieufna, osędląca między innymi zakorzenioną tradycją i dogmatami w kierunku nowego, chytra, skąpa. Prawdziwie jest sennie miasteczko, smętna miniatura wielkiego miasta ze swoją czystą i ukwieconą pryncypalną ulicą, zaspajająca o wczesnym zmierzchu, z jedną budką telefoniczną na rynku, miejscowymi wielkościami, grającymi w domino i „cyganerią” reprezentowaną przez panów Nosa i dorozkarcza Szczęry.

Prawdziwi są wreszcie ludzie, mieszkańcy wsi i miasteczka. Pani Misztal, dobruśniana wdowa, patronująca chłopcom trochę dla zysku, trochę dla zaspokojenia swoich niewyżytych pragnień macierzyńsko-kobiecych; Stonoga — sprytny babisko, małowładzka „aferyzka”, spętany spóźnioną miłością stryj bohatera, wreszcie Funio — przyjaźniel w gruncie rzeczy najlepszy, bo jedyny, przed którym można być całkowicie szczerym, bez pozy, bez narzuconych sobie rygorów.

Mocno tkwią w rzeczywistości reprezentant wsi. Natomiast jeśli chodzi o bohaterów pierwszego i drugiego planu — uczniów i nauczycieli — zmysł realizmu zawiódł autora. Tu już zatryumfował pewien określony schemat z

ROZPOCZĘTA na łamach naszego pisma dyskusja na temat „Głosu Nauczycielskiego” wywołała duże zainteresowanie czytelników. Świadczy o tym chociażby liczba korespondencji, wpływających do redakcji. Zdania i opinie są bardzo podzielone, a postulaty — jak są świadczą o tym choćby drukowane już wypowiedzi — często sprzeczne. Jest to jeszcze jeden dowód, że zadowolenie gustów większości czytelników — nie jest sprawą łatwą. Chcielibyśmy jednak, by wypowiedzieli się wszyscy chętni i dlatego w dalszym ciągu oddajemy głos naszym dyskusantom.

Władysław Umbras, Ketrzyn. W opinii wielu nauczycieli „Głos” uchodzi za pismo mało atrakcyjne i nie spełniające roli, jaką powinno.

Jest za mało bołowy i za delikatny w traktowaniu problemów społeczno-bytowych. Za dużo w nim sążnizny, zbyt ogólnych, artykułów z dziedzin tzw. pedagogizacji, przeważa w nim część komentarzy, sprawozdawcza z narad i obrad.

Za wiele pisze się o tym, jaki powinien być nauczyciel, a za mało o tym, jaki jest w rzeczywistości. Kontakt z terenem jest zbyt amiezny i nieukierunkowany.

Osobiście chętnie czytam wypowiedzi kol. Turka z Bartoszy, które zawsze są sformułowane w sposób przystępny i odważny, więcej takich korespondentów z terenu Pismo powinno ustalić pewien ogólny schemat poruszanych spraw i zagadnień, tak aby czytelnik mógł z góry nastawić się na interesującą go problematykę.

I tak tygodnik powinien zamieszczać artykuły wybitnych specjalistów na tematy wychowania, psychologii, filozofii, socjologii w kraju i za granicą. Powinien też poruszać sprawy warunków socjalno-bytowych nauczyciela, bardziej piętnować tych, którzy go krzywdzą. Oczekujemy również więcej artykułów z terenu z podziałem na zagadnienia miejskie i wiejskie (problem samotnych kobiet-nauczycielek na wsi).

Należy „Głos Nauczycielski” tak redagować, aby podtytuł „tygodnik społeczno-oświatowy” odpowiadał treści.

Piotr Lasota, Stolec Łukowski. Moim zdaniem — „Głos Nauczycielski” spełnia rolę centralnego pisma związkowego. Porusza wszystko, co się w szkolnictwie dzieje u nas i na szerokim świecie. Są bolączki i osiągnięcia. Odczuwa się jednak brak dobrej dobranej proporcji między trzema pionami oświaty, tj. spraw szkolnictwa podstawowego, spraw szkolnictwa średniego i wyższego. Pomija się np. sprawy przedszkoli.

Centralnym zagadnieniem w „Głosie” jest szkolnictwo podstawowe. Cięży tu być może tradycja.

Trzeba więcej pisać o szkolnictwie wyższym, jego treści naukowej, o jego osiągnięciach i zmianach.

Format „Głosu”. Jedni chcą, żeby większy, bo to daje więcej treści, a drudzy wolą mieć mniejszy format z wkład-

ką, bo tak jest im wygodniej. A więc — co głowa, to rozum. Każdy chciałby dołożyć swoje „trzy grosze”. Według mnie dobrze jest, jak jest. Będzie więcej treści, będą wkładki, jak to było swego czasu, kiedy „Głos” drukował o szkolnictwie w różnych krajach. Składaliśmy wkładki i mieliśmy broszurki.

Czytelnictwo „Głosu”. Z tym jest gorzej, kuleje i to mocno.

Każdy ma swój sposób czytania prasy. To prawda. Nie wiem, jak kto czyta, ale wiem, jak ja to robię. Najpierw przeglądam tytuły i kto to pisze, tak — jak leci, po kole. Nie przepuszczam nawet odpowiedzi redakcji. I może dźwię, ale te odpowiedzi czytam w całości, bo to krótkie. Potem biorę się do tego artykułu, który mnie czymś „chwycił”. Te, które odpowiadają mi, czytam przeważnie dwa razy. Mam czasem zastrzeżenia do niektórych artykułów pisanych przez działaczy związkowych. Odnoszę wrażenie, że to samo można by napisać krócej, dlatego czytam je przekalkując z wiersza na wiersz. Tylko jak mnie „chwyci”, wracam do tytułu i czytam „od deski do deski”.

Edward Osuch, Chełmża. Trzeba jakoś uatrakcyjnić „Głos”. Ostatnio dział: „Pytania, odpowiedzi, interwencje” bardzo zainteresował nauczycieli. Często teraz, od ostatniej strony, zaczyna się czytać.

Ile to swego czasu wywoływał zalekawienia dział z nagrodami „Czytelnicy i korespondenci piszą”. Od tego też zaczęto się szperanie w „Głosie”. Ostatnio zanika ten dział, a szkoda... były w nim ciekawe obrazki z życia i pracy szkół, obrazki, pouczające, wychowujące.

Wakacyjny konkurs ze znajomości pragmatyki nauczycielskiej też przyniósł korzyści. Zorientowaliśmy się, że nie znamy pragmatyki.

A teraz propozycja: konkursy, ciekawe działy, podawana tematyka do opracowań, porady prawne, artykuły dyskusyjne, felietony wychowawcze, wypowiedzi, jak spędzam wakacje letnie, zimowe i inne ciekawostki niech ożywiają „Głos”, a czytelnik — oprócz nich przeczyta też poważny, naukowy artykuł i „Głos” będzie prawdziwym naszym głosem.

A więc jeśli nie szkoła, to kto właściwie walczy o duszę tego chłopca? Na szczęście nikt określono, wszyscy po trochu — a przede wszystkim samo życie, które nawet tam, w tym sennym Oltarzewie, w tej wsi głęboko jeszcze korzeniami tkwiącej w przeszłości staje się coraz bujniejsze, coraz szybsze, coraz pełniejsze. To nie, że wiek XX reprezentuje kilka neonów na głównej ulicy i beużyteczna budka telefoniczna. Neon jednak świecą, a z budki telefonicznej można rozmawiać z całym światem. A to już jest coś, co stwarza perspektywę.

Babinicz jest najprawdziwszy w malowaniu ła, jest kapitalnym obserwatorem i dostrzega rodzaje się przemiany tam, gdzie nie dostrzegliby ich jeszcze nikt inny. Dlatego, jeśli nie będziemy się upierać, aby „Obecnego” zaszerogować do rzędu książek tylko o młodzieży i szkole — to śmiało możemy stwierdzić, że przybyła nam bardzo ciekawa współczesna powieść.

„Obecny” — książka nie tylko o młodzieży

Wreszcie bohater czwarty — najważniejszy — ten, którego oczami widzieliśmy cały otarowski świat. Chwiejny, rozdarty, zagubiony, podlegający wszystkim możliwym wpływom — typowy, wręcz schematyczny reprezentant wsi, z której pochodzi. W nim najostrej sfera się stare z nowym, o niego walczą księżdz...

Właśnie, z kim? Chęłoby się tu napisać ze szkołą. Ale tej zaszczepionej roli nie powierzył Babinicz nauczycielom. I tu autor (wbrew pozorom) jest najmniej prawdziwy. Zawierzył schematom. Ci nłacy nauczyciele, nie różniący się między sobą niczym poza drobnymi śmiesznościami, niewidocznymi nieomal poza murami szkoły, oderwali od życia — pochodzą w prosty linii od przemitych, ale przecież mało rzeczywistych profesorów Makuszyńskiego. Babinicz robi wprawdzie pewne grzesznościowe ustępstwa na rzecz pedagogów, którzy z nich inlejują jakąś mocno zresztą niedaną pseudosoczerą rozmowę z uczniami, dyrektor pod koniec książki zdobywa się na jakiś (mało natobane uzasadniony) gest, ale w sumie szkoła wypada całkowie blade i nłjako.

Audycja szkolna z języka polskiego z cyklu: „O miejsce wśród ludzi” w dniu 8 listopada 1962 r., godz. 11.

Audycja poświęcona jest zagadnieniom stosunków rodzinnych. Bohaterami inscenizacji jest rodzestwo rywalizujące ze sobą o uczucie matki. W pełnej wzajemnym niezrozumieniu atmosferze narasta niechęć brata do starszej siostry, która nie wykazuje inicjatywy, by pomóc chłopcu w jego kłopotach.

Miłość do matki, będąca jedną z przyczyn konfliktów, staje się w efekcie pomocą w naprawieniu stosunków pomiędzy bratem i siostrą.

Autorem widowiska telewizyjnego jest znana pisarka dla młodzieży Irena Jurgieliewiczowa.

„LITOSĆ PRZECIWIKO LITOSCI”
Jedną z klasycznych powieści włoskiej literatury wojennej napisaną przez dziennikarza i literata włoskiego. Na te wydarzenia wojennych autor ukazuje skomplikowane konflikty moralne, rodzące się wskutek alternatywnych sytuacji wobec których stają bohaterowie, tragicznie spłót dziełwo kraju z losem osobistym człowieka.

„Litosć przeciwko litosć” Quldo Plovena, przekł. B. Sieroszewska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1962. Cena 20 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIECZOR NAD RZEKĄ”
Interesujące gawędy o zwykłych ludziach i zwykłych sprawach. Z tego zornie bezbarwnego tematu potrafi autor wydobyc konflikt, radości i tragedie głęboko ludzkie. Opowiadania te, powstałe w 1960 roku, były już publikowane w prasie i radio. Zebrane w całość — stanowią ciekawą lekturę.

„Wieczór nad rzeką” Aleksander Bogdański, „Iskry”, Warszawa 1962. Cena 10 zł.

„WIEC